MYŚL NARODOWA

TYGODNIK POŚWIĘCONY KULTURZE TWÓRCZOŚCI POLSKIEJ

ROK XVI. Nr. 9. WARSZAWA, 1 MARCA 1936 R. CENA NUMERU 80 GR.

KIEDY ZAŻYDZONO POLSKĘ?

W HIERARCHJI trosk i problemów, narzucających się do rozwiązania w dzisiejszej Polsce, bezwątpienia najważniejszym jest sprawa żydowska. Bez uporządkowania bowiem tej kwestji niema mowy o jakiejkolwiek normalnej egzystencji narodu polskiego. Co tu śnić o mocarstwowości mając u siebie parę miljonów żywiołu obcego i wrogiego, a w dodatku wpływającego na losy państwa. Likwidacja więc żydostwa to pierwszy nakaz chwili.

Ciekawe przeto jest, jak doszło do tego, że dziś przedewszystkiem tą sprawą żydowską zajmować się musimy, że ona stanowi nasz *„szkurnyj wopros"*; kiedy Polskę tak strasznie zażydzono? Kto to sprawił?

Pytanie to, coraz więcej interesujące naszych historyków, próbowano już rozwiązać; zwrócono uwagę na tajne związki (zwłaszcza Zakon Palmowy), na politykę Amosa Komeńskiego, na całą katastrofę Potopu — ja chciałbym się tu zająć czem innem, mianowicie zobaczeniem, jak wywołane tamtemi wypadkami okoliczności żydzi wykorzystali i jakie siły w kraju im do tego pomogły. Nie będę więc mówił o sprawach siedemnastowiecznych, ale o czasach saskich, które pierwsze zaczynają Polskę zażydzoną.

Polska saska to kraj magnacko-szlachecki, gdzie inne warstwy usunięto w cień i upośledzono. Chłop w tych czasach nie występował i był tylko kółkiem w organizacji gospodarczej, bardzo zresztą kiepskiej. Mieszczanin także był nieobecny, a magnat walnie się przyczynił do tego, że miejsce jego zajął żyd i że miasta polskie zmieniły się w te zbiorowiska ruder, jakie dziś jeszcze możemy obserwować po naszych miasteczkach. Tak jak dzisiaj Wiślica czy Chrzanów, za Sasów wyglądały wszystkie miasta „dzięki" opiece możnowładczych starostów,—tylko największe jako tako jeszcze wegetowały.

A gospodarka starostów była poprostu skandaliczna i co się zowie rabunkowa. Zamków nie odnawiano i mnożono w ten sposób ruiny, ale dopuszczano się i gorszych rzeczy. Biorę przykład (nieco późniejszy), z wymienionej już Wiślicy. Oto w roku 1766 „Stanisław Lubomirski marszałek W. K., starosta wiślicki, chwalebną przedsięwziął intencję, dom porządny na sądzenie w nim sądów ziemskich i na konserwowanie bezpieczne aktów wymurować. A że w tamtym kraju trudno o materjały dla odległych lasów, [nawiasem mówiąc wierutna bajka] więc suplikował nam, abyśmy mu pozwolili z rozwalonych murów i bram cale do reperowania już się nie zdających [stała śpiewka starostów], kamienie brać i z nich takowy dom wystawić". Król się zgodził i oto lustracja z 1789 r. stwierdza, że „Wiślica... miała bramy: krakowską, buską i zamkową i murem obwiedziona była", a dalej, że „sądy ziemskie sądzą się w kamienicy kolegjackiej, akta zaś częścią w tejże kamienicy, częścią w kościele konserwowane zostają". Starosta więc rozebrał mury, a obiecanego domu nie postawił. Na co zużył materjały, tajemnica łatwa do odkrycia, poprostu ograbił miasto. Takich wypadków możnaby zebrać mnóstwo, a gdy tak bywało w czasach stanisławowskich, gdy były regularne lustracje i większy duch obywatelski, to cóż mówić o Sasach! Nie wszystko u nas Szwedzi poburzyli, i Stanisław August słusznie kpił, że najlepszy sposób zburzenia Bastylji to dać ją naszym starostom pod opiekę. Starosta z reguły nie troszczył się o miasto, ale o własną kieszeń i o żydów.

Klijentami magnatów była bowiem nietylko drobna szlachta, ale i żydzi, pełniący różne funkcje gospodarcze i kredytowe, dużo wygodniejsi dla nich, niż jacyś polscy mieszczanie mający swoje prawa, które trzeba było obchodzić, czy łamać. Łamano też je powszechnie, a oponujących się bito „z tą alegorją; ja pan, ja prawo" (Gor-

czyński), ale jeszcze więcej wolano żydów, którzy praw nie mieli i opłacić się zawsze byli gotowi. Gdy więc miasta miały przywileje *„de non tolerandis judaeis"*, obalali te przywileje magnaci, tworząc pod bokiem miast jurydyki i zasiedlając je żydami. Żydowskie miasta otaczały więc teraz polskie i były wyraźnie protegowane przez baczących na swoje tylko interesy podstarościch i starostów. To była ich troska o przemysł i handel.

Zażydzono więc Polskę w tych czasach doszczętnie i doprowadzono, a raczej dopuszczono do tego, że stała się największym terenem żydowskiego skupienia. Żydzi, którzy w XVI wieku stanowili jakieś $3^1/_2$% ogółu naszej ludności, a których bezpośrednio po wojnach Potopu było w r. 1676—183,000, z czego aż 71,000 na Rusi Czerwonej, teraz liczeni są oficjalnie na 621,120, czyli jakieś 8 — 9%, a cyfra ta jest z całą pewnością mniejsza od rzeczywistej, którą żydzi ukrywali nie chcąc płacić pogłównego. Prof. Brückner przypuszcza, że w tych czasach było już ich około miljona. Rozsiedleni byli przeważnie po miastach prywatnych i jurydykach, a jakaś trzecia część siedziała na wsi. Terytorjalnie czwarta ich część przypada na Litwę, która w r. 1676 miała tylko 17% ogólnej ich liczby.

Oprócz różnych weksacyj starościńskich, jakich nie szczędzą oni polskiemu mieszczaństwu — do rozwoju żydostwa walnie przyczynia się i samobójcza polityka gospodarcza, postanawiająca (rok 1661), że kupcy Polacy mają brać 7% zysku, obcy 5%, a żydzi tylko 3%. W ten sposób otwarto żydom drogę do monopolu handlowego, jaki mimo podniesienia się późniejszego miast i licznych prób emancypacji dotychczas zachowali.

Sprzyjały im zresztą niesłychane warunki do których wytworzenia perfidnie się przyczynili. Najechana przez tajne związki Polska w wojnach XVII w. straciła nie tylko Zadnieprze, ale i swoje miasta. Zniszczenie wojenne nie oszczędziło żadnej okolicy kraju, — Pomorze, Wielkopolska, Mazowsze, Żmudź, co od lat nie widziały wroga, teraz padły ofiarą rabunku. Gdzie nie dotarli Szwedzi, tam przyszli Moskale, lub kozacy, czy nawet Węgrzy, wiedzeni przez awanturniczego Rakoczego. Miary zniszczenia dopełniła wojna północna i późniejsza wojna domowa dzikowsko-tarnogrodzka, wywołana gwałtami króla Sasa. Po tylu walkach, pochodach i przemarszach wszystkie niemal miasta leżały w gruzach, ludność w nich była zdziesiątkowana, stosunki handlowe pozrywane. Trzeba było ogromnego wysiłku, by wrócić do dawnego stanu, który choć nie był świetny, wydawał się ideałem w porównaniu z tem, co wojny zostawiły. A choć miasta, również dotknięte powszechną apatją i znużeniem, wzięły się do tej pracy, to nie napotkały w niej żadnej pomocy, ale przeciwnie same trudności i szykany. Chcący, czy niechcący dobito ich chory organizm. Zatłamszono doszczętnie mieszczaństwo polskie i jego nić tradycji się zrywa. Wiek osiemnasty zobaczy później nowe rody patrycjuszowskie, — stare zeszły z widowni, albo już były szlacheckie (Wodziccy, Morstinowie), albo zmarniały w ubóstwie i beznadziejnej martwocie tych czasów.—

Ale czasy saskie nie tylko ustaliły żydowskie oblicze naszych miast, ale także i rolę żydostwa w naszem życiu, które w tych właśnie czasach do niego wchodzi i to nietylko negatywnie, przekupstwem wpływając na uchwały sejmowe. Gdy bowiem wszystkie ówczesne warstwy są właściwie zorganizowane w zamknięte ghetta, żydzi pierwsi przełamują swoje odosobnienie i wchodzą w nasze narodowe życie. I mieszczaństwo i chłopi dłużej zostali poza narodem, niż ci obcy przybysze, co miało oczywiście wielce opłakane skutki. To wtargnięcie żydów w etos polskie ułatwił powszechny w społeczeństwie naszem tych czasów zapał do ich nawracania, słuszny niewątpliwie sam w sobie, ale połączony z zupełną nieznajomością ich religji i natury. Przecież jeszcze w dobie Sejmu Czteroletniego Butrymowicz pisał, że właściwie religja mojżeszowa a chrystjanizm to jedno i że z tego względu można serjo myśleć o asymilacji żydów.

Szczególną gorliwością w tej niefortunnej pracy misyjnej odznaczał się kapłan wielkich zalet, ksiądz Turczynowicz kanonik piltyński; ochrzcił on około 500 żydów, a dla pracy około nawracania żydówek powołał specjalny zakon żeński Marjawitek, któremu wkrótce pobożne społeczeństwo ufundowało aż 17 klasztorów. Marjawitki i ksiądz Turczynowicz działali głównie na Litwie i z ochrzonych przez nich jakichś 2 tysięcy żydówek — znakomita większość przypada na Litwę. Powydawano je za mąż za chrześcijan, nieraz i szlachtę, a zapał religijny szedł tu tak daleko, że zazdrosna o swe przywileje, tak pilnująca swej wyłączności szlachta, dąsająca się na mieszczan czy obcych — dla neofitów była nad wszelki wyraz łaskawa i otwierała swe kadry. Uważano ich powszechnie za szlachtę, błędnie interpretując wyrwany z sensu i całości artykuł V-ty rozdziału X-tego Statutu Litewskiego z roku 1588, dopuszczono do kupna dóbr, do urzędów i rang w wojsku. To też na sejmie koronacyjnym Stanisław August na usilną „instancję" posłów litewskich i ich „usilne dopraszanie" się udzieli kilkudziesięciu (48) nobilitacyj „dystyngowańszym neofitom". W tem otwieraniu na oścież wrót żydostwu miała Litwa bogatą tradycję, bo pierwsze nobilitację żydowskie: Oszejków (herb Morawy r. 1499) i Abramowiczów (herb Jastrzębiec r. 1507), w niej właśnie miały miejsce, a żyd Ezofowicz był za Zygmunta Starego litewskim podskarbim. Podobnie jak na Litwie, łatwiejszy był dostęp żydom do szlachectwa na Ukrainie, w rdzennej Polsce natomiast rodziny żydowskie dopiero zapoczątkowują Frankiści, wyjątki od tej reguły (Powidzcy herbu Korab) są arcynieliczne.

Sama jednak łaskawość społeczeństwa polskiego, dopuszczająca żydów do pełnego obywatelstwa za cenę chrztu, a więc rozumując po europejsku — największą — nie wystarczyłaby, gdyby wśród żydów nie powstał ruch propagujący ich wejście w życie polskie. Taki ruch zapoczątkował Jakób Frank (1726 — 1791), żyd podolsko-wołoski; genjalnie go przeprowadził, chrzcząc całe masy swych współwyznawców, głównie podolskich i ukraińskich i wprowadzając już nie jednostki, jak to czynił (co prawda na bardzo wielką skalę) ksiądz Turczynowicz, ale dosłownie masy (frankistów liczono na dwadzieścia parę tysięcy) w polskość i laboratorja polskiej kultury.

Niedarmo głosił Frank, chacham i cudotwórca, że „gdy człowiek idzie z jednego miejsca na

drugie, powinien wszystkie porządki pierwszego miejsca porzucić, a trzymać się tych, w które wchodzi“, czy że „w każdem miejscu do którego przyjdziemy, musimy porzucicić dawne obrządki, szaty i język, a tylko trzymać się mowy każdego narodu i jego języka“.

Czasy saskie stanowią więc epokę w historji żydów w Polsce, skoro równocześnie gruntują ich rządy ekonomiczne i przełamują ich moralne ghetto.— Wogóle można stwierdzić, że czasy saskie w sposób zły, czy dobry (raczej jednak stanowczo zły)· pod każdym względem przygowały teraźniejszość polską — z nich ona wypłynęła, a nie np. z Piastów, co są dla nas pouczającą historją, ale nie historycznem wczoraj.

KAROL STEFAN FRYCZ

WIZJA POLSKI WIELKIEJ

ZACZYNAJĄC moje rozważania o narodzie (kilka numerów wstecz) powiedziałem, że czasy nowe to powrót do paradoksu. Przechodząc od rozważań ogólnych do szczegółowych od tegoż muszę zacząć [1]).

Polska wśród innych narodów jest w tem szczególnem położeniu, że prócz wszystkich rozbitych paradoksów, ma ponadto jeszcze jeden rozdarty w sposób tragiczny, tym razem już nie z winy światopoglądu mijającej epoki, ale z winy szczególnych polskich warunków — przebycia okresu niewoli. Chodzi mi o paradoks jedności narodu w czasie.

Mamy kult dla dawnej Polski królewskiej, dla Polski hetmanów koronnych i wielkich kanclerzy, Polski Chrobrych, Żółkiewskich, Zamoyskich, ale ten kult owiany jest smętkiem pamiątek. Patrzy się na tę chwałę potrosze jak na zasuszone kwiaty. Ilekroć szuka się potwierdzenia tych słów, że „Polska to wielka rzecz”, zawsze oczy nasze zwracają się w tamtą stronę, ale poczucie związku tej Polski dawnej z Polską dnia dzisiejszego jest wątłe. Dawna Polska zamyka się w muzeach, a dzień dzisiejszy pełen jest brudu i nędzoty. I czy czasem nietylko dlatego tak się dzieje, że nasze dziś nie spełnia słów poety, że Polska Podlodowskich, Boratyńskich, Tarnowskich jakże inna była od Polski dzisiejszych panów, czy nie dlatego także, że zanadto przyuczyliśmy się tę „wielka rzecz” umieszczać w przeszłości i zapomnieliśmy trochę o tem, że Polska dawniej i dziś to jedno, to z a w s z e wielka rzecz.

Paradoks jedności narodu w przepływie czasu, dokonywa sie poprzez jedność niezmiennej idei narodu. Idea jest niewyczerpana, jest niewyczerpalnym motorem twórczości. Realizując się w czasie w coraz to nowych formach, ujawniając coraz to nowe aspekty, pozostaje wiecznie ta sama. Dlatego to Polska jest zawsze ta sama, zmienny jest tylko wysiłek wewnętrzny Polaków ku osiąganiu polskiej krystalizacji ducha.

Ale naród nie jest abstrakcją, jeno żywym konkretem, w którym świat idealny spotyka się z realnym. Dlatego i tu znajduje konkretną formę wyrazu swej jedności. Wyraża ją poprzez ciągłość obyczaju, stylu, etc. ale najdobitniej, w sposób najbardziej bezpośredni przez ciągłość instytucyj. W tem właśnie leży znaczenie tradycji. Źle jest, jeżeli naród żyje przeszłością, dobrze — jeśli przeszłość żyje w narodzie, a chodzi tu o ciągłość stylu narodowego, skali życia. Istota rzeczy leży w tem, aby tradycja, która jest pewną abstrakcją, związana była z konkretami, aby żyła w ciągłości instytucyj. Tylko wtedy kontakt z przeszłością nie przesłania oczom teraźniejszości. Naród zaś żyje teraźniejszością, bo jest rzeczą ludzką, a człowiek jest ograniczony w czasie, i co ma zrobić, to musi zrobić dziś, nie wczoraj ani jutro. Gdy przeszłość żyje w narodzie przez ciągłość instytucyj, szukając jej nie trzeba się przebijać przez zaspy zatęchłej ciszy sal muzealnych — znajduje się ją na każdym kroku, w słońcu i czystem powietrzu. W tem leży wartość przyrody i takich zabytków jak kościoły, które nie przenoszą się do muzeów — i dziś, tak jak przed wiekami, są zawsze tem samem — miejscem, w którem Polak spotyka się z Bogiem.

Niewola, przez zerwanie ciągłości instytucyj, zamąciła naoczność paradoksu jedności narodu w czasie. Zamąciła świadomość istnienia wiecznej idei narodu, która jest taka, a nie inna, i dlatego taka a nie inna musi być jej realizacja w każdych warunkach czasu. Sądzę tedy, że czas już ostatni, aby przywołać sobie przed oczy niezmienną ideję Polski i odpowiedzieć sobie na pytanie, czy Polska jest wypadkową chwili i doraźnych zabiegów, czy istotą historyczną, o skrystalizowanej w ciągu dziejów osobowści. A odpowiedź może tu być tylko jedna.

Polska jest zawsze taka a nie inna i gdy się siebie pytam jaka? — jedno tylko potrafię powiedzieć: jest królewska. To jest jedyne słowo, w którem choć w części mieści się jej ogromność, jej władczy majestat. Chodzi tu zaś przedewszystkiem o ustalenie t r e ś c i pojęcia „Polska”, nie wystarczy bowiem znać tylko jego z a k r e s. Przyjęcie takiego przekonania o treści pociąga jednak za sobą konieczność uzewnętrznienia owej królewskości w zewnętrznym kształcie idei Polski, wcielonej w naród. I to jest dla mnie najprzeważniejszy argument za monarchją. Ta zaś niepraktyczna argumentacja jest właśnie najmocniejszem poparciem dla niepraktycznej idei monarchji. Cała jej racja leży w tem, że jest *ad maiorem Dei et nationis gloriam* i nie potrzeba jej uzasadniać.

Ale czasy nowe łączą rozdarty paradoks praktyki i teorji. Duch czasów nowych, to ten sam, który w średniowieczu kazał wznosić te gmachy katedr tak niepraktycznie, tak paradoksalnie, z tak nieograniczoną bujnością zdobnych tłumami rzeźb,

[1]) Samo określenie artykułu: „wizja“ usuwa potrzebę zastrzeżeń ze strony redakcji co do *meritum*, autor bowiem sam ostrzega zgóry, że jest to widzenie jego osobiste. Nie można zaś zaprzeczać prawa bytu wizjom, bo przez nie odsłania się świat wyobraźni pokolenia, które musi tworzyć przyszłość. Uważamy to za dowód rzetelności myślenia, gdy autor nie boi się dotrzeć do kresu konsekwencji, zdaje sobie z niej sprawę i bierze za nią odpowiedzialność. Znajdujemy się w położeniu, które na czoło cnót wysuwa samodzielność myśli. Nie z łatwości operowanie gotowemi formułkami i hasłami urzędowemi inteligencja nowego pokolenia zdaje egzamin, lecz z możności tworzenia własnego światopoglądu. — Red.

lasami kolumn, koronami wieżyczek. Dla praktycznego człowieka czasów nowożytnych wydawało się rzeczą zgoła bezsensowną, że artysta średniowieczny ustawiał rzeźby gdzieś aż na podniebnych krawędziach, gdzie trwały niewidoczne dla ludzi, ginęły oczom, nieoglądane nie przysparzały sławy artyście, który je stworzył.

To co było niezrozumiałe dla tego praktycznego człowieka, w średniowieczu było rzeczą jasną. Katedra miała być dziełem pełnem, skończonem, pomnikiem na chwałę Bożą, miała być oglądana nietylko z ziemi, ale i z nieba. Za umieszczaniem na szczytach owych rzeźb niewidocznych zdołu, ginących w oddaleniu, nie przemawiały żadne względy praktyczne, tylko ten jeden argument nieodparty, — że tak się godzi.

Otóż siła monarchji, podobnie, nie leży we względach praktycznych. Gdy się ją dyskutuje jako praktyczny projekt ustrojowy można przeciwko niej wytoczyć tysiąc i jeden druzgocących argumentów. Ale ma ona za sobą tę rację niezbitą, że tak się godzi. Godzi się, aby Polska miała formę godną siebie. Trzeba tylko porzucić stanowisko materjalistyczne, uwierzyć w to, że człowiek składa się nietylko z ciała ale i z duszy, że zatem naród, który jest rzeczą ludzką, jeśli chce być wielki, jeśli chce żyć po pańsku, musi się umieć zdobyć nietylko na rzeczy praktyczne, ale i na te, które się robi z tych tylko prostych, a niezbitych przyczyn, że są piękne, słuszne i godne. Tylko taka postawa może dać wielką cywilizację.

Naród nie jest kombinacją ludzkich interesów, ale tworem organicznym. Jest pomnikiem, oglądanym nietylko z ziemi, ale i z nieba.

Jest organicznym systemem dążącym do pełni. Otóż Królestwo jest koroną systemu, jego wykończeniem i zamknięciem. Domaga się go samo poczucie porządku. Potrzeba ładu jest potrzebą człowieka cywilizowanego. Tylko dzikusowi może wystarczać to, że załatwia się sprawy praktyczne, człowiek cywilizowany, aby miał zadowolenie, potrzebuje tej świadomości, że wszystko dzieje się tak jak trzeba, że ład jest pełny, dzieło wykończone. Ta kwestja porządku ma głębokie konsekwencje.

Jak powiedziałem już przedtem, *habitus* narodowy funduje się na konkretach. Działanie organizujące polega na tem, że konkrety narodowe dostarczają zasobu wrażeń, nastawień kierunkowych woli, związków uczuciowych, stosunków między sferami psychiki i stosunków ich do rzeczywistości. Dzięki temu naród dokonywa organizacyj irracjonalnych władz psychiki, nadając im konstrukcję narodową, *habitus* narodowy. Otóż związek z narodem w tej właśnie irracjonalnej sferze psychiki najsilniej się wyraża, tu bowiem płyną nurty bezpośredniego kontaktu. Co jest szczególniej ważne, naród daje ujście dla wrodzonej potrzeby entuzjazmu, uniesień nad wielkością rzeczy. Entuzjazm dla spraw narodu, uniesienie nad jego wielkością i poczucie pokory względem niego jest wewnętrzną potrzebą narodowego człowieka.

Otóż naród, który organizuje psychikę przez konkrety, musi dokonać i tego, co nazwałbym organizacją entuzjazmu. Musi dostarczyć konkretu, któryby tę potrzebę skoordynował i nastawił kierunkowo w ten sposób, aby entuzjazm ten był istotnie entuzjazmem nad wielkością narodu, nad Polską. Potrzeba bowiem uniesień ducha jest tak silna, że znajduje sobie często w braku innych ujścia zgoła fałszywe. Tem właśnie tłomaczy się kult jednostki, łapczywość z jaką masa narodu wyładowuje swe zasoby entuzjazmu przy lada okazji, kiedy choć cieniem prawdy może się przed sobą usprawiedliwiać, że to entuzjazm narodowy. Potrzeba więc konkretu, któryby ten kapitał entuzjazmu zorganizował na codzień, boć przecie wielkie zdarzenia, które go mogą wykorzystać, nie codzień się zdarzają, a jest to kapitał wielki i dużej ceny, którego nie można trwonić. Takim zaś konkretem jest właśnie król — uosobienie niegarnionej idei narodowej w widomym człowieku, który wyposażony jest w najwyższy *habitus* narodowy, w którym realizują się najwyższe siły funkcjonalne narodu i najwyższe jakości idei narodu — jej wielkość i majestat, jej pomazanie Boże.

Kult króla nie jest kultem jednostki. Jest to kult samej idei narodu, która w nim znajduje widome wcielenie. Entuzjazm nad samą ideą narodu, niezmącony kontakt z nią bezpośredni, dostępny jest tylko tym, którzy zdołali przebić się poza całą tkankę narodu i stanąć twarzą w twarz z jego ideą. Ale na tę wyżynę dostać się mogą tylko wybrani. Naród zaś ma w sobie miarę nietylko na olbrzymów ale i na prostego człowieka i tem samem mu służy, tak samo czyni go człowiekiem pełnym, tak samo daje mu poczucie godności. Zaś dla prostego człowieka, a każdy w gruncie rzeczy jest człowiekiem prostym, potrzeba konkretu, któryby mu ideję narodu ściągnął na ziemię i unaocznił. Uczucie jest wtedy prawdziwe, gdy wiąże się z konkretem, inaczej — wyradza się w sentymentalizm i fałsz. Otóż ten brak konkretów wyrażających wielkość narodu, szarzyzna jego naocznej powierzchni, ułatwia fałszywą deklamację sentymentalnego patrjotyzmu. Dlatego też istnienie konkretu wyrażającego ideję narodową jest potrzebą zdrowia moralnego narodu. Entuzjazm narodowy, w momentach powszechnego uniesienia, wydobywa z narodu najwyższe tony. W tem leży wartość wojny, w której zarówno potrzeba entuzjazmu jak i potrzeba pokory, ofiary z siebie, działają z siłą żywiołu. Są to chwile gdy idea narodu zstępuje niejako na ziemię, jako archanioł wojny obcuje ze swym ludem. Ale wojna zdarza się rzadko. Potrzeba tedy, aby to niecodzienne obcowanie zostało jakoś udostępnione na codzień. Naród musi być dobrze zagospodarowany, nietylko materjalnie ale i duchowo.

*

Mówiąc, że *habitus* narodowy funduje się na konkretach, nie chcę ukrywać, że przypisuję rzeczom pewną władzę magiczną. Ale jest to magja biała, która tem się różni od czarnej, że nic nie ukrywa, ale przeciwnie objawia, że daje się jasno pojąć i wytłumaczyć.

Z tych zaś względów za jedną z cichych tragedyj Polski w związku z jej ideałem królewskim, poczytuję zaginięcie polskich insygniów królewskich. Kto wie, czy gdyby te insygnia były dotąd na Wawelu, nasze poczucie związku z dawną Polską nie byłoby silniejsze, czy droga do odnalezienia skali moralnej nie byłaby mniej daleka? A przecież o tę skalę, o tego ducha tu chodzi przedewszystkiem.

(Dok. nast.) HENRYK EYSYMONTT

UWAGI DO „WIEJSKICH PROBLEMÓW"

III

W OBAWIE o narodowy etos p. Frycz przestrzega tych, którzy uważaliby za możliwe urządzić Polskę bez ziemiaństwa. Wykreślenie ziemiaństwa z naszego życia narodowego — powiada — byłoby takim przewrotem, taką przemianą duszy narodowej, że taki radykalny krok usprawiedliwićby można jedynie zupełnem zwątpieniem o wartości tej warstwy. Nie poto — dodaje — jesteśmy narodem historycznym, by świadomie redukować się do chłopskiej masy i świeżej ludowej inteligencji, takie uciekanie w etnos zaszkodziłoby tylko naszemu etosowi, na który składały się wieki.

Taki lęk autora o przyszłość narodu wypływa z głębokiego jego przeświadczenia, że twórcą, przedstawicielem i strażnikiem narodowego etosu jest ziemiaństwo, jako warstwa historyczna. Bez tej warstwy niemasz narodu, pozostałby tylko etnos i świeża ludowa inteligencja. Bowiem „wszystkie warstwy i warstewki naszego narodowego etosu — czerpią z jednego źródła i tradycję z jednego źródła rozmaicie przerabiają. Tem źródłem jest dwór polski i z niego wszyscy jesteśmy". („Przeciętność, jako ideał").

Autor nie określił bliżej treści i zakresu narodowego etosu. Spróbuję to uczynić na własną rękę, bo mam wrażenie, żem dobrze go zrozumiał.

Co to znaczy narodowy etos? W mojem rozumieniu będzie to nietylko norma etyczna, ale wogóle cała kultura duchowa zbiorowości. Powiedzmy, że taki etos zawdzięcza swe powstanie dworowi, to jednak, aby stwierdzić, że on jest narodowy, trzebaby wykazać, że on stał się w części przynajmniej własnością pozostałych warstw narodu. To jedno. Następnie mówiąc o dworze polskim, trzeba go brać takim, jakim był w rzeczywistości. Trzeba odróżnić w nim elementy twórczości obcej od pierwiastków rodzimych, trzeba ocenić jego rolę i znaczenie w zbiorowości i stwierdzić, o ile jesteśmy wszyscy z niego.

Ton życiu publicznemu i prywatnemu nadawali magnaci naśladujący rozmach monarszy. Dwór magnata był akademją ogłady towarzyskiej dla braci-szlachty, która czerpała stamtąd wzory dla swego ogniska domowego. Dworki szlachty chodaczkowej niczem prawie nie różniły się od zagrody chłopskiej.

Dwór magnata, przynajmniej w ostatnich wiekach Rzeczypospolitej, był częściowo tylko dziełem twórczości polskiej. Architektura, całe wewnętrzne jego urządzenie, etykieta, obyczaj, strój, język nawet, to w niemałej mierze rzeczy obce, import z zagranicy. Dwór zarazem nie tylko był akademją ogłady, ale rodzajem szkoły politycznej. Czemże był — przynajmniej w epoce saskiej pod tym względem? Najczęściej szkołą serwilizmu i zuchwalstwa — zauważa znawca jego Władysław Łoziński: szukać protekcji wielkiego pana — możnowładcy, oddać na jego usługi głos, szablę i sumienie, gardłować za jego przekonaniem, choćby się miało własne wprost przeciwne, podzielać jego sympatje i antypatje, okazywać mu wszędzie i zawsze służalczą czołobitność, a za to wyzyskiwać, ile się tylko da, jego wpływ, piwnicę i jego worek — nazywano „trzymaniem się klamki pańskiej". Z czasem „klamka pańska" stała się jakby rodzajem społecznej instytucji, albo raczej jakby jakimś stałym uprawnionym zawodem, do którego się przygotować i o który starać się należy. Ale „klamka pańska", tak niestety obca znaczeniu jakiejś zacnej patrjarchalności i braterskości szlacheckiej, którem ją ustroiła fałszywa, choć tradycyjna legenda, była wprawdzie źródłem i walnym środkiem krescytywy, ale też i upodlenia zarazem; co gorsza, śmiało powiedzieć można, była jedną z klątw społecznego i publicznego życia dawnej Polski, szkołą korrupcji i magnatów i szlachty, akademją krzykactwa, warcholstwa i serwilizmu zarazem, fabryką pasorzytów i próżniaków, źródłem najszkodliwszych niekiedy fakcyj i ruiną politycznego sumienia.

Jako Polak zawsze powiem — nasza przeszłość jest dworska, szlachecka, będę ją nazywał naszą, ale nie mogę o sobie powiedzieć, że przez to jestem z dworu. Przedewszystkiem życie szlachty, a więc dworu, było tak właściwe tylko tej warstwie, związane z jej charakterem, sytuacją prawną i majątkową, że mowy być nie mogło, aby pozostałe warstwy mogły je w czemkolwiek naśladować. A dziś jeśli kto tak czyni, to wpada w śmieszność. A dwór szlachecki? Znamy go z naszych dziejów i pamiętników, dał nam jego obraz z okresu Polski upadającej Mickiewicz, patrzymy nań obecnie. Dwór ten pielęgnuje tradycję swej warstwy, kultywował i kultywuje szlachecką miłość ojczyzny. Mówię szlachecką, gdyż miłość ojczyzny wiązał zwykle z Polską szlachecką, a i dziś, w tak gruntownie zmienionych warunkach, kocha Polskę po swojemu. A miłość ojczyzny współczesnego Polaka musi być bezinteresowna.

Wyprowadza się też z dworu nawet charakter polski i uważa go się za narodowy. Pogląd błędny, gdyż cechy charakteru szlachty, wykształconej w specjalnych warunkach historycznych, dla niej niesłychanie korzystnych, uogólniono i powiedziano sobie, że jest narodowy. Tymczasem warunki, w których wyrósł i psychicznie się wykończył typ szlachcica polskiego — wywodzi R. Dmowski — były tak odmienne od wszelkich innych w cywilizowanym świecie, że charakter jego musiał stać się czemś ogromnie różnem od wszystkiego, co gdzieindziej spotykamy. Ale wielkim błędem jest uważać znamiona charakteru, które pozostały dzięki tym specyficznym warunkom, za podstawowe właściwości naszej rasy. Warunki te znikły, a w następstwie znika powoli i typ przez nie wytworzony; nigdy się one na naszej ziemi nie powtórzą, więc i typ nigdy się nie odrodzi („Myśli nowoczesnego Polaka").

O tem należy pamiętać, jeśli się chce etos narodowy uważać za dworski.

Odrzucając szlacheckie pojęcie narodu, nie możemy zgodzić się, aby etos był skrojony na miarę szlachecką. W mojem rozumieniu etos narodowy, jako kultura duchowa narodu, nawet w czasach Rzeczypospolitej szlacheckiej miał cechy ogólnonarodowe. W skarbcu kultury narodowej złożona jest twórczość duchowa przedstawicieli

wszystkich warstw społecznych narodu (Kopernik, Klemens Janicki), czynów heroicznych na polach bitew dokonywali również i chłopi (Grzech Wieloch pod Wielkiemi Łukami, Bartosz Głowacki pod Racławicami), a wszyscy wedle stanu i możności, oraz ich roli historycznej. Wydaje mi się, że cała twórczość polska, czy to nauka, czy wielka myśl polityczna, szukająca dziejowych dróg Polski, unosiła się ponad dworami, które miały swoją atmosferę i sobie tylko właściwą sferę życia. Bowiem etos narodowy — to wielkość moralna, zobjektywizowana, oderwana od miary indywidualnej, czy stanowej, skupiająca w sobie, jak soczewka, wszystkie promienie duchowe zbiorowości dziejowej, jaką jest naród. U podstaw tak pojętego etosu leży norma etyczna, bez której wogóle niema etosu. Dwór jest związany z tradycją prawa i przywileju, zaś etos narodowy przenika naczelna zasada obowiązku wobec ojczyzny. Oto dlaczego etosu narodowego nie można wyprowadzić z dworu. Tam często prawo tylko, tu przedewszystkiem obowiązek.

Uważam za niedopuszczalne wykreślanie ziemiaństwa z narodowej Polski, ale urządzenie jej bez niego teoretycznie jest do pomyślenia; taki krok nie mógłby wywołać przewrotu, ani wielkiej przemiany duszy narodowej. Ziemiaństwo, wyrosłe bujnie w sferze prawa i przywileju, niknie samo w zetknięciu się z obowiązkiem. Któż tego nie widzi, któż temu zaprzeczy?

Narodowy etos — to obowiązek. Skonfrontowaliśmy z nim ziemiaństwo, poddajmy tej konfrontacji włościaństwo. Jaki jego stosunek do obowiązku narodowego? Chłop, żywioł politycznie młody, tem naogół się odznacza, że mało wymaga dla siebie od narodu, tem łatwiej więc wdrożyć go do obowiązku publicznego, który chętnie zresztą wypełnia. Etosowi narodowemu nie zagraża tyle chłop, ile trybuni ludowi, którzy usiłują go wepchnąć na tor dziejowy dworski, czyli w kierunku prawa i przywileju. Jak szlachta w obliczu wroga zażądała przywileju (statut nieszawski), tak chłopu w obliczu najazdu bolszewickiego zagwarantowano ziemię. Uczyniono zły początek u samego zarania wznowionej naszej państwowości, podeptano etos narodowy, który kategorycznie wymaga czystości pobudek działania. W tem leży niebezpieczeństwo ogromne na przyszłość, i uwaga p. Frycza, gdyby chodziło o etos narodowy, a nie dworski, byłaby zupełnie usprawiedliwiona.

Myliłby się jednak ten, ktoby *quasi*-szlachecki kierunek polityczny, zwany ludowym, utożsamiał z chłopem. Nasz chłop ma wielki podziw dla nauki i uczonych, a przez religję łatwo dochodzi do zrozumienia abstrakcyjnej zasady obowiązku wobec ojczyzny. Pomaga mu w tem obóz polityki narodowej. Chłop nasz wierzy mu, nie przestając być chłopem. W tem jego wartość, jako podstawy narodu. W tem leży przyszłość Polski.

(D. n.) JÓZEF STARYSZAK

EDWARD DEMBOWSKI

W RZECZYWISTOŚCI i W LEGENDZIE

(W 90-tą ROCZNICĘ ŚMIERCI)

W HISTORYCZNYM kalendarzyku polskim jest dzień 27-go lutego datą, związaną z dziejami polskich walk o niepodległość oraz datą śmierci jednego z przywódców tych walk — Edwarda Dembowskiego. W roku bieżącym jest 90-ta rocznica tej śmierci [1]).

I

Dziwna to postać. Syn senatora i kasztelana Leona, który przed wybuchem powstania w r. 1830 piastował szereg wybitnych urzędów a spokrewniony był z arystokracją oraz Czartoryskimi—wyrósł w atmosferze arystokratycznej, lecz nie nasiąkł nią. Wrażliwy i uczuciowy, o zapalnym temperamencie, wykształcony starannie przez bogatego ojca i wykazujący wybitne zdolności, kształci się głównie w matematyce, filozofji i literaturze.

Mimo oporu ojca, łączy się jako 18-letni młodzieniec węzłem małżeńskim z 16-letnią krewną Anielą Chłędowską i stwarza własne ognisko domowe, przez ojca należycie wyposażony znaczną częścią majątku rodowego.

Pan Edward stworzył sobie wprawdzie ognisko domowe, lecz zamknąć się w niem nie myślał. Bujna i zapalna natura pcha go tam, gdzie może znaleźć najwięcej ruchu, niebezpieczeństw i walki. To też nic dziwnego, że jakby drugie ognisko domowe znalazł wśród żywiołów rewolucyjnych i demokratycznych w Warszawie, zwłaszcza, że młodociana małżonka nietylko zapędów jego w tym kierunku nie hamowała lecz raczej jeszcze je podsycała.

Założony przez Dembowskiego i za jego pieniądze w Warszawie „Przegląd Naukowy” (1842), grupuje wyznawców idej demokratycznych, „entuzjastów“ i „entuzjastki” warszawskie: Hipolita i Anielę Skimbrowiczów, współredaktorów „Przeglądu”; Henryka Kamieńskiego, autora „Katechizmu Demokratycznego” i „Prawd Żywotnych”—heglistę Jana Majorkiewicza, poetę Karola Balińskiego, Narcyzę Żmichowską i długi szereg innych.

Dembowski jest łącznikiem między tą bliższą sobie grupą a ówczesną cyganerją warszawską, ożywioną także ideami demokratycznemi (Wolski, Lenartowicz, Zmorski, Dziekoński, dwaj Norwidowie, Juljan Bartoszewicz, Filleborn; malarze: Brodowski, Gumiński, Stankiewicz i inni) — pisze i drukuje bardzo wiele w „Przeglądzie” z dziedziny filozofji, literatury i sztuki oraz przyrody.

Zwolennik Hegla marzy o stworzeniu systemu samorodnej filozofji polskiej, którą nazywa „filozofją przyszłości”. Badania zapalonego hegli-

---

[1]) Źródła historyczne tego artykułu: 1) Moritz Frhr. v. Sala: „*Geschichte des polnischen Aufstandes V. J 1846.*” Wien 1867. 2) Stecka Marja:—Edward Dembowski. — Lwów 1921. 3) Marie von Ebner-Eschenbach: „*Der Kreisphysikus*” *(Aus den „Dorf und Schlossgeschichten”)*' Wien 1910. 4) Limanowski Bol. — „Historja ruchu rewolucyjnego w r. 1846“. Kraków 1913.

sty i gorącego demokraty doprowadzają do wcale nieheglowskich wyników. Głoszone przez Dembowskiego w pismach poglądy zbliżają go raczej do socjalizmu — a dążenie do zniesienia własności prywatnej i podziału majątków szlachty, której nienawidził i którą winił za niepowodzenia powstania listopadowego, ujawniło jak daleko Dembowski poszedł za hasłami paryskiego Towarzystwa Demokratycznego i St. Simonistów.

Te teoretyczne rozważania praktycznie wprowadzą go w atmosforę spisków. Gdy udział jego w nich odkryto, Dembowski musi uciekać w jesieni r. 1843 z Królestwa do Poznańskiego, gdzie atmosfera polityczna od r. 1840 była lżejsza niż w Kongresówce.

II

Pobyt w Poznaniu wpłynął dodatnio na Dembowskiego. Drukuje dużo artykułów w czasopismach („Rok", „Dziennik Domowy", „Tygodnik Literacki")— tu też wydaje zarys historji literatury p. t. „Piśmiennictwo Polskie w zarysie" — dzieło oryginalne i odrębne w sposobie ujmowania zagadnienia. Dembowski ocenia pisarzy i ich dzieła nie ze stanowiska artystyczno-literackiego, lecz z polityczno-społecznego i dzieli literaturę na postępową i niepostępową. Stąd sądy jego często są bardzo stronnicze.

Nie dane mu było jednak i w Poznaniu dłużej przebywać. Już w jesieni roku 1844 wydala go rząd pruski nie tyle za działalność spiskowopolityczną, bo tej wobec dobrej konspiracji spiskowców nie odkrył i nie znał, lecz za działalność publicystyczną i hasła rewolucyjne, szerzone w artykułach.

Nieświetna sytuacja materjalna (po konfiskacie majątku w Królestwie, dumny i różniący się z ojcem w przekonaniach kasztelanic nie chciał przyjmować od niego pomocy) — rozbicie ogniska domowego (żonie pozwolono, po wielkich staraniach, w drodze łaski zamieszkać w Księstwie lecz nie w Poznaniu) i horoskopy tułaczki uniemożliwiają Dembowskiemu dalszą pracę umysłową.

Ideje swoje realizować on teraz będzie wyłącznie na drodze innej, jako czynny agitator rewolucyjny.

Przenosi się więc teraz do trzeciej dzielnicy, pozostającej pod zaborcą, do Galicji, gdzie rozwija gorączkową pracę. Natrafił tu na grunt niezbyt pomyślny.

Silna germanizacja, biurokratyzm, wyzysk ekonomiczny, pogłębiany systematycznie przez rząd austrjacki rozdźwięk między szlachtą i ludem — stwarzały atmosferę ospałości, nie sprzyjającej agitacji prorewolucyjnej. Nadto pewna awersja Dembowskiego do szlachty z jednej a nieufność z drugiej strony utrudniały robotę.

Łatwiej przyjmowały się hasła wśród klasy średniej. To dodaje Dembowskiemu bodźca do tem żywszej agitacji i przygotowywania powstania. Za schwytanie go policja wyznaczyła nagrodę 1000 zlr. i rozpisała za nim listy gończe. Przenosi się z miejsca na miejsce od Zaleszczyk po Wadowice, przebrany za żyda handlarza czy chłopa (miał niezwykłe zdolności transformisty), zakładając wszędzie komitety powstańcze i obejmując swą pracą agitacyjną prawie całą Galicję. Nie ustaje w tej pracy, gdy nie udaje mu się uzyskać dla sprawy powstania Franciszka Smolki, nie zraża się niczem. Oddawszy pracę we wschodniej połaci kraju w ręce Teofila Wiśniowskiego, przenosi punkt ciężkości swojej pracy na teren zachodniej Galicji.

Nad krajem zaczęły się zbierać chmury. Już z 11 na 12 lutego dokonano licznych aresztowań we Lwowie. Potem przyszły aresztowania w Tarnowie, coraz gorsze wieści o ruchach chłopskich, skierowywanych świadomie przez rząd austrjacki przeciw szlachcie i złe wiadomości z Poznania, gdzie aresztowano Mierosławskiego i zniszczono cały spisek. To załamuje działania rewolucyjne, teren ich zacieśnia się. To też powstanie wybucha właściwie tylko w Krakowie i w Rzeczypospolitej krakowskiej, gdzie pod naciskiem ruchów powstańczych w dniach 20 i 21 lutego generał austrjacki Collin uznaje za stosowne opuścić Kraków.

Dembowski, przebywający wtedy w okolicach Wieliczki, zajmuje to miasteczko, opuszczone również przez wojska austrjackie i wprowadza w mieście Rząd Narodowy. Miasteczko żyje przez trzy dni (24 — 25 — i 26) życiem rewolucyjnem.

Dembowski dla dalszej pracy udaje się do Krakowa, gdzie dyktatorem ogłosił się już Tyssowski. Przy pomocy wydanej dnia 25 lutego odezwy do mieszkańców Królestwa Kongresowego, zapowiadającej zniesienie pańszczyzny i danin, usiłuje wywołać ruch powstańczy w Królestwie. Akcja ta wywołuje jednak reakcję, przychodzą przykre niespodzianki.

Wysłany 25 lutego ze Lwowa podpułkownik Benedek rozprasza pod Gdowem powstańców, którzy z Wieliczki wyruszyli na zajęcie Bochni, a 27 lutego zajmuje Benedek Wieliczkę, gdzie rewolucja upada. Generał Collin, który wycofał się pod Wadowice, rusza na Kraków.

Gorączkowe usiłowania Dembowskiego pozyskania dla rewolucji chłopów nie dają rezultatów. Wpada wtedy na myśl inną, chce na nich oddziałać przez duchowieństwo. Urządza więc uroczystą procesję z udziałem 30 uzbrojonych strzelców i sam tę procesję w ubraniu chłopskiem, z krzyżem w ręku prowadzi. Procesja idzie przez Podgórze ku Wieliczce, gdy jednak nie spotkała nigdzie chętnych do przyłączenia się chłopów, postanawia wrócić na noc do Krakowa.

Na rynku podgórskim zastępuje procesji drogę generał Collin ze swem wojskiem. Wywiązuje się utarczka, w której Dembowski pada przeszyty kulą a po upadku przekłuty jeszcze trzykrotnie bagnetem. Na rynku podgórskim zostaje 28 zabitych i wielu rannych — tłum ucieka w stronę mostu, częściowo dostaje się do Krakowa, częściowo wpada w ręce austrjaków...

Ten smutny koniec procesji był także końcem rewolucji krakowskiej, Kraków poddał się Collinowi.

III

Co się stało z Dembowskim?... Poszukiwania jego ciała na miejscu utarczek nie dały rezultatu; ciała jego nie znaleziono! Na rozkaz władz austrjackich rozkopywano później mogiłę, w której pochowano poległych. Ciała Dembowskiego nie agnoskowano. To było powodem, że postać Dembowskiego przeszła do legendy. Opowiadano, że żyje, że uciekł za granicę, że zbiera nowe siły, że przedarł się do Poznańskiego.

Opowieści te jednak były naprawdę tylko legendą.

Słusznie zaznacza austrjacki historyk rewolucji w r. 1846 — Maurycy baron v. Sala, że gdy-

by Dembowski nie był padł na rynku podgórskim, byłby zpewnością wypłynął podczas rewolucji w r. 1848. (str. 280).

Nie wypłynął jednak — a śmierć jego na rynku podgórskim, śmierć entuzjasty, rewolucjonisty i bojownika o wolność ludu i Polski uznać należy za fakt niezbity.

Długo jeszcze po r. 1846 postać Dembowskiego żyła w aureoli legendy i w tej formie przeszła także do jednej z nowel... niemieckiej autorki, poetki, powieściopisarki i autorki dramatycznej, Marji von Enber-Eschenbach. W szeregu jej opowiadań, wydanych p. t. „*Dorfund Schlossgeschichten*“ (wyd. w 1885) tematem dwu nowel są wypadki z r. 1846.

Tytuły ich „Jakób Szela“ i „*Der Kreisphysikus*“ (Lekarz obwodowy).

W tej drugiej właśnie występuje Dembowski jako emisarjusz, a pod koniec noweli jako legendarny prosty chłop, który uratowany cudem z pośród stosu trupów i wyleczony w szpitalu w Krakowie, wyemigrował gdzieś za granicę śląską za fałszywym paszportem, wystawionym na nazwisko Hawryła Kózki i tam z żoną i dziećmi pędzi żywot spokojny wśród chłopów, pokorny i oddany pracy nie agitacyjnej, ale umoralniającej i cywilizacyjnej. Oddziaływa przykładem uczciwego i pobożnego życia i życia tego, jako zwykły chłop w pracy nad chłopem chce dokonać.

— „To, co w młodości uważałem za łatwo osiągalny ideał, zniknęło gdzieś daleko, jak poza mną. Jeszcze nie wykopano ziemi pod fundamenty tej świątyni, którą chciałem ozdobić wspaniałą kopułą. Przekonałem się, że trzeba przedewszystkiem szarej pracy najemnika, a nie pracy bujnego artysty, by osiągnąć zamierzony cel. Krucyfiks, z którym kiedyś szedłem w bój, wisi nad łóżeczkiem moich dzieci. Ktoby śmiał w imię wielkiego Pojednawcy-Chrystusa nawoływać do waśni i walki?“

Oto *Credo* legendarnego Dembowskiego, wypowiedziane do swego niegdyś przeciwnika, doktora Natanaela Rozenzweiga, który przypadkowo natrafił w swych podróżach samarytańskich na domostwo dawnego agitarora.

W rozmowie z nim butny dawniej w swych poglądach emisarjusz przedstawia się jako zupełnie inny człowiek.

Wierzy nadal w swe posłannictwo i chce pracować wśród ludu — ale będzie to praca inna, praca pokorna, ciągła... aż do śmierci. Z jakąś jakby ulgą wyznaje, że nie zostawia ucznia, któryby szerzył jego dawne, światoburcze hasła. Zostawiasz jednego — wtrąca doktór — niegdyś jego wróg formalny z racji swego urzędu — choć cichy sympatyk. — Tym uczniem ja jestem, ja, tak dotąd pochłonięty materjalnemi tylko troskami, widzący szczęście tylko na ziemi. — Bo mnie, emisarjuszu, wtajemniczyłeś w rzeczy wielkie o nieprzemijającej wartości...

Uścisk serdeczny łączy pod koniec noweli tych dwóch ludzi, niegdyś wrogo stojących naprzeciw siebie.

Mało znana u nas nowela Marji von Ebner-Eschenbach daje poza tem efektownem zakończeniem na kilkudziesięciu stronach szereg barwnych obrazów z r. 1846. Na ich tle uwydatniają się wyraziście główne postacie: Dembowski i Rozenzweig. Dembowski, osłonięty jakimś czarem tajemniczości, zjawia się bądźto w pałacu pod przybranem nazwiskiem Rozwadowskiego, by wśród szlachty agitować przeciw Austrji, bądź w karczmie, gdzie przemawia gorąco do chłopów, głosząc zbliżanie się dnia sprawiedliwości i wyzwolenia dla wszystkich uciśnionych.

Dwukrotnie grozi mu niebezpieczeństwo utraty życia, w obu wypadkach pomocnym pośrednio w ukryciu go, względnie w ucieczce jest doktór.

Postać tego galicyjskiego żyda z ery przedkonstytucyjnej, sprawującego odpowiedzialne stanowisko lekarza obwodowego w Tarnowie, wyposażyła autorka w szereg ciekawych rysów. Syn biednych rodziców, pracuje ciężko jako lekarz rządowy i wolnopraktykujący, by zebrać majątek jaknajwiększy. To cel jego życia! Jest wrogiem wszelkich ruchów wolnościowych i skrzętnie donosi o nich swemu przełożonemu, staroście. W cichości żywi jednak jakiś kult dla Dembowskiego, dwukrotnie ocala mu życie zręcznemi manewrami, a nawet ponosi dla niego dużą ofiarę materjalną dwóch tysięcy guldenów, by niemi zatkać gębę swemu współwyznawcy, zdrajcy Dornerkronowi, który podczas zebrania, urządzonego przez Dempowskiego dla chłopów w karczmie, posyła syna po huzarów austrjackich i w ten sposób spodziewa się zdobyć dużą, na głowę Dembowskiego nałożoną nagrodę. — A gdy Dembowski w tajemniczy sposób zwraca doktorowi wyłożoną sumę, ten wręcza ją swemu parobkowi na założenie ogniska domowego.

A potem powoli przetwarza się jego psychika, wchłania w siebie hasła „niepoczytalnego“ emisarjusza, by wkońcowej scenie noweli stać się jego jedynym... uczniem...

Głównem źródłem, z którego autorka korzystała, była książka Maurycego bar. Sali p. t. „*Geschichte des Polnischen Aufstandes V. J. 1846*“. Niektóre miejsca noweli są poprostu tylko poetycką transpozycją ustępów wymienionej książki. Nie umniejsza to jednak jej wartości, gdyż autorka (pochodząca z czeskiej rodziny arystokratycz-Dubskich, a żona wojskowego dygnitarza austrjackiego) odnosi się do tematu z widoczną sympatją.

Postać Dembowskiego, niepozbawioną w szczegółach wierności historycznej, wyposażyła autorka w szereg rysów, uwypuklających jego utopijno-idealistyczne poglądy, czyniąc go pod koniec noweli jakiemś wcieleniem tołstojowskich haseł. Poza tem Dembowski z noweli niemieckiej autorki to jakiś tytan sugestji, zdolny przetworzyć najgorszego egoistę w szlachetnego altruistę, człowieka moralnie mało wartościowego w jednostkę o szlachetnych tendencjach działania.

Suggestji tej ulega doktór, któremu autorka nie szczędziła rysów ujemnych, właściwych jego rasie, by go potem wybielić i z materjalisty i egoisty uczynić ofiarnym samarytaninem, poświęcającym resztę życia na służbę najbiedniejszym i realizowanie haseł swego mistrza.

Dlaczego autorka właśnie żyda wybrała jako przedmiot potężnego wpływu Dembowskiego — pozostanie to jej tajemnicą. Komentatorzy twierdzą, że uczyniła to dlatego, by tembardziej uwydatnić sugestywną siłę emisarjusza nawet na tego rodzaju jednostki i postać jego tem więcej postawić w idealnem świetle. Jeżeli taka była jej intencja, udało jej się to w zupełności.

ANTONI J. MIKULSKI

NA WIDOWNI

Upadek kultury muzycznej. — Jego przyczyny społeczno-obyczajowe. — Rozwój techniki reprodukcyjnej i jego skutki. — Radjo jako wychowawca.

SMUTNIE kończy się przedsięwzięcie p. Korolewicz-Waydowej, która, zamieniwszy operę stołeczną na operetkę, zrzekła się swojej godności dyrektorskiej, niepewna jest przyszłość warszawskiej orkiestry symfonicznej, zagrożonej w materjalnych podstawach swego bytu. Dzienniki rozpisują się szeroko na te tematy, zapowiadają beznadziejniejszy coraz upadek kultury muzycznej w kraju. Wyszukuje się przyczyn tej katastrofy i wśród głosów, omawiających to zagadnienie raz po raz poruszana jest kwestja radja, jego programów, krytykowanych zarówno pod względem treści jak wykonania. Jak dalece słuszne są te zarzuty?

Nie zamierzam wkraczać na obcy mi teren i nie poddaję audycyj radjowych ocenie fachowej — na tem miejscu pragnę skreślić raczej kilka uwag natury obyczajowo-społecznej, gdzie pożytek kulturalny z rozpowszechnienia „odbiorników ulepszonych" i głośnika sądzony będzie dość niezależnie od wartości utworów przesyłanych na falach eteru lub też od doskonałości ich odtworzenia. Kto wie nawet, czy właśnie „nadawanie" najwspanialszych arcydzieł nie okaże się, z tego punktu widzenia, najniebezpieczniejsze?

Radjo (zwłaszcza owo z głośnikiem) jest w domowe życie wtargnięciem świata zewnętrznego tak natarczywem, tak brutalnem, że „zacisze ogniska rodzinnego" coraz bardziej staje się... wspomnieniem przeszłości. Niech ktoś jeden w mieszkaniu nastawi aparat, a już w szeregu pokojów, przy pracy, rozmowie, przechodzeniu z jednego miejsca na drugie słyszy się, silniej albo słabiej dochodzące fragmenty melodyj. Latem, przez otwarte okna, przenikają one z sąsiednich lokalów i domostw. Towarzyszą stale wszelkim zajęciom. Wyobraźmy też sobie jak wysubtelnia się wrażliwość kulturalnej rodziny, słuchającej podczas kolacji np. Sonaty *b-moll* Chopina, w wykonaniu któregoś z najznakomitszych pianistów. Właśnie rozpoczął grać trzecią część, przy stole normalna pogawędka:

— Doskonały jest ten pasztet z sosem...

— Psst... Słuchaj: śliczna jest kantylena...

Dwie refleksje o charakterze ogólniejszym nasuwają się jako wniosek z tego stanu rzeczy. Przedewszystkiem rzuca się w oczy fakt, iż czasy dzisiejsze, dzięki wynalazkom w zakresie techniki reprodukcyjnej tak dalece udostępniły nam arcydzieła ze wszystkich dziedzin sztuki, iż w rezultacie przytępiły naszą zdolność odczuwania, zdolność wzruszania się, odebrały nam bezpośredniość podziwu. Przypominam sobie, jak w czasie pierwszej mojej podróży do Włoch: we Florencji, w Wenecji, w Rzymie wciąż otaczały mnie widoki oddawna mi znajome z przeróżnych książek, albumów, pocztówek. Nagle, wychodząc z ciasnej, wąziutkiej uliczki w Ferrarze, zobaczyłem fasadę tamtejszej katedry, której dotychczas nigdy nawet na fotografji nie oglądałem. Doznałem olśnienia. Pilastry, kolumny, odrzwia, rzeźby, w słonecznym blasku letniego popołudnia zagrały mi taką rozmaitością świateł i cieni, potężna bryła wspaniałej budowli wydała się tak majestyczna i ogromna, że do dziś dnia pozostało mi niezatarte wspomnienie tego wyjątkowego artystycznego przeżycia. Św. Marek w Wenecji, Św. Piotr w Rzymie są niewątpliwie znakomitszemi dziełami architektury, dlaczegóż tutaj wrażenie było tak bezpośrednie i takie silne?

Sedno w tem, sądzę, że poznawanie arcydzieł przy pomocy reprodukcji (np. płyty gramofonowej, fotografji) ukazuje tylko tę cząstkę piękna, którą w takiem odtworzeniu można zachować, a gdy rzecz, w tej niepełnej postaci, opatrzy się i spospolituje, wówczas i zetknięcie się z oryginałem nie przynosi wzruszeń mocnych i świeżych. Trudno być porwanym przez poemat, gdy zbyt dokładnie pamięta się jego... streszczenie prozą. Czyż nie szczęśliwsi bywali pod tym względem ludzie Średniowiecza lub Odrodzenia, dla których podróż przynosiła tyle niespodzianek, nieznanych całkiem, nawet w marzeniu nie przeczuwanych zadziwień i zachwytów?

Ale istnieje jeszcze druga strona sprawy, gdzie właśnie radjo najszkodliwszą bodaj odgrywa rolę. Obcowanie z wielkiemi tworami ducha, z poezją, muzyką wymaga mianowicie pewnego skupienia się, pewnego uroczystszego nastroju, jest już z natury swej czemś odświętnem, oderwaniem się od szarzyzny i wulgarności. Zapewne, zabawni nieco byli owi panowie z ubiegłego stulecia, co na operę musieli chodzić we fraku, zwłaszcza gdy ten szacunek okazywali np. utworom Meyerbeera lub Halévy'ego. Lecz nie zabawna była wcale myśl Wagnera, kiedy urządzał *Bühnenfestspiele* w Bayreuth, gdy od słuchaczów swych wymagał odcięcia się od codzienności, całkowitego poddania się czarowi sztuki.

Otóż radjo jest pod tym względem raczej demoralizatorem, niż wychowawcą. Człowiek przyzwyczajony co chwila przekrzykiwać Beethovena czy Bacha, stawiać pasjanse przysłuchując się najwznioślejszym arcydziełom („Minuta poezji: wiersze mistyczne Słowackiego") ma, niczem ospę, zaszczepioną niewrażliwość na najszczytniejsze wzloty ducha wielkich twórców. Cóż stąd, że mechanicznie „udostępnia się" poznawanie dzieł mistrzów, gdy równocześnie ogłusza się duchowo słuchaczów, cóż stąd, że coraz lepsze mamy odbiorniki, gdy coraz gorszy... odbiorca?

Dużo, powierzchownie, prędko — oto zasada korzystania z dóbr kulturalnych w dobie dzisiejszej, gdy wszystkim śpieszno, gdy rozpęd techniki oszołamia jednostkę ludzką i przeszkadza jej zorjentować się, dokąd ją niesie. W języku polskim (jakże to trafne i głębokie!) wyraz „zastanowić się" posiada dwa znaczenia: zatrzymanie się w pędzie i namysł. Zatem: zastanówmy się...

JAN REMBIELIŃSKI

GŁOSY

ŚLĄSK W CHWILI OBECNEJ. Dzień 21 lutego b. r. przyniósł Polsce krótki komunikat Polskiej Agencji Telegraficznej, treści następującej:

„Zarządzeniem władz została z dniem 20 lutego ostatecznie rozwiązana uprzednio już zawieszona organizacja p. n. i zarząd wojewódzki (okręgowy) Stronnictwa Narodowego w Katowicach wraz ze wszystkimi komórkami organizacyjnemi na obszarze górnośląskiej części województwa śląskiego, ponieważ dalsze jej istnienie i działalność zagrażały spokojowi, porządkowi i bezpieczeństwu publicznemu".

Fakt rozwiązania organizacji przypada na czas kiedy Obóz Narodowy na Śląsku począł się stawać pierwiastkiem twórczym i skuteczną obroną od działania rozkładających zdrowie narodu i moc państwa czynników. Zarządzenie z dnia 21 lutego jest trzecim z kolei faktem z ostatnich czasów na terenie Śląska. Przed paru zaledwie tygodniami zawieszono w kilku powiatach województwa śląskiego działalność Stronnictwa Narodowego, a wkrótce potem odbył się głośny proces robotników, oskarżonych o czynną postawę wobec żydostwa, które w ostatnich latach mocno obsiadło wolne od niego do tej pory tamtejsze miasta, wsie i miasteczka. Sąd—jak wiemy—ferował wyrok niezwykle w wymiarze kary surowy.

Niedługo potem odbyły się na tamtejszym terenie wybory do związków zawodowych, które przyniosły związkom o charakterze lewicowym 13.000 głosów! Cyfra nie mała, ba — nawet niepokojąca. Czy dowodzi ona słabości Obozu Narodowego? Nie. Obóz Narodowy rekrutuje się w przeważnej części z proletarjatu pozostającego bez pracy, nie zorganizowanego w związkach. Obóz Narodowy pracuje wprawdzie obecnie nad wytworzeniem swojego typu Stowarzyszenia zawodowego — zdaje sobie jednak sprawę z tego, że całkowite rozwiązanie kwestji robotniczej być może jedynie konsekwencją przebudowy ustroju gospodarczego, do którego wytrwale i świadomie dąży.

Liczba 13.000 głosów musi zastanowić, daje ona przecież obraz sytuacji, jaka istnieje na terenie śląskiego zagłębia węglowego. Nie trzeba dodawać, iż mimo pozorów list socjalistycznych, głosy te krzyczą wymową ideologji komunistycznej. Jest to niewątpliwie przejaw wzmożenia się w świecie ostatniemi czasy propagandy Kominternu, której się obecnie skwapliwie schwyciła masonerja celem ratowania swych wpływów. Przykład: Hiszpanja i Francja.

Rada Naczelna Stronnictwa Narodowego znakomicie syntentycznym skrótem odmalowała te fakty w punkcie poświęconym ocenie położenia europejskiego (ob. niżej komunikat).

Że ta opinja ma objektywną podstawę, dowodzi najlepiej ostatnie przemówienie p. ministra spraw wewnętrznych Wł. Raczkiewicza, wygłoszone dnia 24 lutego w sejmie. Komunizm potraktowany został niemal tak groźnie, jak... ruch narodowy, przeciw któremu obiecano wystąpić „z całą bezwzględnością".

P. minister Raczkiewicz stwierdził, że „III-a międzynarodówka żąda od swych członków zaprzestania walki, żąda jednolitego frontu ze wszystkiemi organizacjami o światopoglądzie klasowym, zmierzającego do obalenia każdego rządu, który się przeciwstawia rewolucji socjalnej".

„W naszych polskich warunkach"—mówił dalej p. minister — „ta wspólność frontu sięgać ma począwszy od ugrupowań komunistycznych, poprzez stronnictwo socjalistyczne, aż do ugrupowań ludowych włącznie".

Oto tajemnica 13.000 głosów, które padły na listy nibyto socjalistyczne. Pierwsze zapowiedzi tego zjawiska poczęły się ukazywać w Polsce latem ubiegłego roku w postaci ulotek akademickich, podpisanych nieznanym dotychczas i niespotykanym sojuszem: „Akademicy socjaliści—Akademicy komuniści".

Przemówienie sejmowe p. Raczkiewicza potwierdza trafność wypowiedzi Rady Naczelnej Stronnictwa Narodowego, nawet w tym punkcie, gdy nakazuje ona zwrócić uwagę na niebezpieczeństwo obecności w Polsce wielkiej ilości żydów, obcych instynktami i duchem narodowi polskiemu. Oto wymowny urywek sejmowego *exposé*:

„Ostoją komunizmu w Polsce są przeważnie ośrodki proletarjatu niepolskiego, a linja wpływów komunistycznych jest oczywiście uzależniona przedewszystkiem od sytuacji gospodarczej w kraju".

Całość obrazu oraz etapy kolejne tłumienia ruchu narodowego na Śląsku nabierają — jak już to zaznaczyłem — w tem świetle właściwego rumieńca. Stronnictwo Narodowe na Śląsku za swój główny cel uważało walkę z ośrodkami zarówno proletarjatu, jak i kapitalizmu obcego. I proletarjat bowiem żydowski i kapitalizm żydowski idą sobie na rękę, o czem władze są chyba dobrze poinformowane

Pozycja Śląska jest dla nas szczególnie ważna, nietylko dlatego, że stanowi on środek węglowy i przemysłowy, ale przedewszystkiem jako kraju, z którego winna emanować polskość na terytorjum Śląska Opolskiego znajdującego się jeszcze dotychczas w rękach niemieckich. Obóz narodowy upomniał się nietylko o Poznań, Pomorze i Katowice, ale nie przestaje pamiętać o Gdańsku i Wrocławiu.

Prezesowi Światowego Związku Polaków muszą być przecież bliscy ci wszyscy, którzy pozostają do tej pory poza granicami państwa, a więc i polska ludność Śląska Opolskiego, niemczona obecnie przez dwie wrogie na wewnątrz Niemiec siły, ale zgodne jeśli idzie o rozszerzanie niemczyzny — hitleryzm i katolickie duchowieństwo niemieckie, kierowane mocną ręką biskupa Bertrama.

Asymilacyjnej sile nacjonalizmu niemieckiego można przeciwstawić jedynie i wyłącznie siłę asymilacyjną nacjonalizmu polskiego. Jest to pewnik, którego niczem obalić niepodobna. Przykład ekspansji duchowej hitleryzmu jest niezwykle dosadny w swej sile.

Gdybyśmy nawet wyrzekli się ambicji emanowania, pozostaje jeszcze kwestja obrony. Nie trzeba chyba tego nikomu wmawiać, nie trzeba nikomu udowodniać, że pozycja Śląska jest niezwykle cenną pozycją w naszym systemie obron-

nym Państwa. Wiemy, i także nie trzeba tu nikogo przekonywać, że siłą w przyszłej wojnie będzie naród walczący, a oprócz technicznej strony uzbrojenia musi posiadać on siłę odporności duchowej, jeśli nie wolę zwycięstwa.

(B)

AGENCJA URZĘDOWA „ISKRA" ogłasza komunikat w sprawie działacza narodowego. Przytaczamy z „Kurjera Porannego", nr. 53:

Skazanie działacza Stronnictwa Narodowego.

Zamość, 21.2 (Iskra). — W sądzie okręgowym w Zamościu odbyła się rozprawa karna przeciwko Kazimierzowi Rzewuskiemu, właścicielowi majątku Ewusin w pow. zamojskim, oskarzonemu o lekkomyślne roztrwonienie zboża, oddanego pod zastaw pożyczki, zaciągniętej w Banku Rolnym. Sąd uznał Rzewuskiego winnym przestępstwa i skazał go na 6 miesięcy więzienia i 200 zł. grzywny.

Rzewuski jest znanym działaczem Stronnictwa Narodowego w województwie lubelskiem. W majątku swoim Rzewuski organizował na własny koszt zjazdy i kursy dla członków tego stronnictwa.

Komunikat tak jest zredagowany, że niewiadomo, czy ostatnie zdanie należy do motywów wyroku, czy też jest komentarzem „Iskry". W każdym razie rzecz jasno wyłożona.

KOMUNIKAT RADY NACZELNEJ STR. NARODOWEGO

Podajemy niżej część komunikatu która pozostała po konfiskacie, dokonanej w „Warsz. Dzienniku Narodowym". Konfiskacie uległo 295 wierszy.

Rada Naczelna Stronnictwa Narodowego, zebrana w dn. 16 lutego 1936, po dyskusji nad sprawozdaniem z działalności Komitetu Głównego w ciągu ostatniego roku, t. j. od chwili jego ustanowienia, oraz nad sprawozdaniem Zarządu Głównego i jego wydziałów: organizacyjnego, samorządowego, gospodarczego, wychowawczo-politycznego, wreszcie finansowego — stwierdza, że w okresie sprawozdawczym liczba czynnych członków Stronnictwa szybko wzrosła, a sprawność organizacji Stronnictwa wydatnie posunęła się naprzód. Środek ciężkości Stronnictwa, które od r. 1905 do końca wojny światowej cierpiało na słaby dopływ żywiołów młodszych, obecnie szybko się przenosi do młodszych pokoleń.

Rozwój w tym kierunku nadał żywe tempo pracy Stronnictwa, zwiększył sumę energji i poświęcenia jego ludzi dla sprawy, wreszcie pociągnął uświadomienie potrzeby głębszego poznania zagadnień, stających przed naszym narodem na tle przełomu światowego, przemian wewnętrznych i niezdrowych warunków życia kraju.

Notowane na ostatnich zjazdach Rady ruchy odśrodkowe wśród t. zw. młodych, które zakończyły się w roku 1934 secesją ich części, uwolniły Stronnictwo od żywiołów, które zbyt łatwo, zbyt powierzchownie pojmowały zadania obozu narodowego w Polsce, którym zbyt się śpieszyło do odegrania roli przodującej w kraju, a nie widziały potrzeby poważnego przygotowania się do niej; z drugiej zaś strony od tych, które nie miały w sobie siły do wytrwania w długiej i trudnej walce o nasze zasady, o państwo narodowe, o najgłówniejsze podstawy bytu ojczyzny.

*

Poczucie odpowiedzialności za przyszłość Polski, z którego wynikła polityka Stronnictwa, prowadząca do odbudowania państwa, nakazuje nam dziś, po jego odbudowaniu, nie szczędzić wysiłków w pracy i walce dla zorganizowania w tem państwie silnych podstaw jego bytu i pomyślnego rozwoju i usunięcia z jego życia wszystkiego, co je rozkłada i do upadku sił prowadzi. Dlatego słusznie czynią władze Stronnictwa, że rozwijają szeroko pracę nad wyraźnem, ścisłem uświadomieniem w naszych szeregach celów i zadań polityki narodowej i zabezpieczeniem ich przed starającą się przeniknąć do nich agitacją żywiołów nie naszych, usiłujących zużytkować je w celach nam obcych i naszej sprawie wrogich.

W dalszym ciągu Rada Naczelna zajęła się oceną położenia w Europie i dążności w obecnej polityce międzynarodowej. W obronie dzisiejszych jednostronnie pojmowanych interesów poszczególnych mocarstw polityka zamyka oczy na wielkie niebezpieczeństwa dla jutra, które sama przygotowuje. Rada Naczelna zwraca uwagę na potrzebę nieustannej czujności z naszej strony w tej dziedzinie. W obecnej, nie mającej widoków trwałości fazie tej polityki należy sobie zdać sprawę z tego, że zawiedzione w stopniu przydatności Ligi Narodów do ich celów, poszczególne mocarstwa starają się rozszerzyć pole dla akcji Sowietów w Europie, z którego jej kierownicy korzystają już dla wzmocnienia swej propagandy komunistycznej. Nasz obowiązek nieustannego czuwania nad rozwojem stosunków przedewszystkiem w naszym kraju, nasze położenie geograficzne, liczba i siła Żydów u nas dziś szczególnie nakazuje nam zwrócić baczną uwagę na to, co się w tym względzie przygotowuje w Polsce.

— — — — — — — — — — — —
— — — — — — — — — — — —

W dzisiejszej trudnej, a tak doniosłej dla przyszłości naszej ojczyzny chwili, w której wszystkie wrogie nam żywioły szeregują się, by narodową pracę i walkę zdezorganizować, Rada Naczelna Stronnictwa Narodowego wyraża głęboka wiarę, że członkowie obozu narodowego na wszystkich posterunkach, świadomi celów narodowej polityki i dróg, które sobie ona wytknęła, dołożą wszelkich wysiłków, ażebyśmy przy szybkiem powiększaniu się naszych szeregów stawali się coraz bliżsi naszych celów, dążąc ku nim prostą, wytkniętą przez nas drogą, działając z żelazną konsekwencją, nie pozwalając, ażeby jedne działania przeczyły innym i je paraliżowały, i skutecznie się przeciwstawiając próbom zepchnięcia nas z wytkniętej drogi.

NAUKA i LITERATURA

„ENCYKLOPEDJA SZLACHECKA"

WYCHODZI obecnie w Warszawie wydawane pod firmą „Instytutu Kultury Historycznej" — „Polska Encyklopedja Szlachecka"; redaktorem jest p. Kasprzycki dotychczas ukazały się dwa grube tomy. Tom pierwszy zawiera obfite wiadomości wstępne i spisy rodów utytułowanych, — tom drugi poczet herbów doprowadzony do litery L; dalsze mają przynieść jeszcze monografje i genealogje rodzin abonentów i wykaz żyjących potomków polskich domów szlacheckich, czyli właściwie też abonentów. Te dwa tomy, jakie się dotychczas ukazały, w zupełności pozwalają scharakteryzować dzieło.

Pierwszą uwagę zwraca napis — „wydawnictwo instytutu kultury historycznej” — brzmi to bardzo naukowo i solidnie, wygląda na to, że rzecz prowadzi jakieś grono uczonych. Tymczasem nic podobnego; — ten instytut to poprostu spółka wydawnicza i nic więcej. Żadnej listy komitetu redakcyjnego nie ogłoszono, a nazwisko redaktora, mimo tytułu doktorskiego, budzi raczej nieufność dziecinnem i snobistycznem zaznaczeniem herbu przy nazwisku: Starykoń-Kasprzycki. Normalnie w Polsce obok nazwiska pisze się tylko przydomek i niema żadnej potrzeby tego zwyczaju zmieniać, ale czas przejść do rzeczy istotnych.

Pomijam więc artykuły wstępne (o genezie szlachty etc.), które mając charakter kompilacyjny, bo nie w nich leży istota wydawnictwa, postawiło ono sobie za cel zebrać wszystkie wiadomości o polskich herbach i dać ich spis kompletny, jak również dać spis kompletny używanych w Polsce tytułów. Jest to myśl bardzo szczęśliwa, skoro materjał ten jest bądź rozproszony, bądź niekompletny w dotychczas istniejących wydawnictwach. Ważne jest też, że encyklopedja, spisując wszystkie herby, obejmuje i nobilitacje porozbiorowe, które wykluczył Boniecki, a które są tak ważne dla zorjentowania się w ewolucjach społecznych naszej nowoczesności. Cała rzecz tylko w tem, by kompilacja była dokładna i ścisła i aby była pełna, — o ile będą błędy czy luki, wartość jej oczywiście znacznie się zmniejszy. Zobaczmy jak to przeprowadzono.

Zaczynając od rodzin utytułowanych, należy stwierdzić, że mimo imponującego nagromadzenia szczegółów, lista ich jest kompromitująco niekompletna, brak np. Firlejów czy Tarłów, a równocześnie są, że tak powiem, cudowne rozmnożenia. Mianowicie figurują oddzielnie ks. de Cantacuzene i ks. Kantakuzenowie, kiedy to jest jedna i ta sama rodzina, a takie jej rozdwojenie świadczy o wiedzy historycznej redakcji, pasującej ich na jakichś Francuzów. Rudolf, starosta bachtyński (a nie bachryński, jak pisze encyklopedja) był prawdziwym wołoskim Kantakuzenem mimo swego nieortodoksyjnego imienia i katolickiego wyznania. Żona jego Elżbieta „księżna wołoska, starościna bachtyńska” — jak ją zapisano — trzymała w Kamieńcu Podolskim paru frankistów do chrztu.

Jeśli chodzi o wykaz herbów, to sprawa się przedstawia o wiele gorzej, ma on bowiem te same wady, co wykaz tytułów, tylko wszystkie niesłychanie powiększone.

A więc przedewszystkiem znowu nie jest kompletny, znowu są dziwne rozmnożenia i wogóle cały ten wykaz sporządzony jest bez najmniejszego krytycyzmu i bez rzetelnej pracy.

Wzięty naukowo spis polskich herbów nie powinien być samem zebraniem dotychczasowych wiadomości, samem skrzętnem wynotowaniem z Niesieckiego,Ranieckiego, Paprockiego i innych, ale przedewszystkiem ich poprawieniem tam gdzie zachodzi potrzeba i ich uzupełnieniem. Źródeł po archiwach nie braknie, a taka praca by się bardzo przydała. Tymczasem jednak spis herbów pojęto jako alfabetyczne spisanie wszystkich gdziekolwiek wymienionych herbów, — co pociągnęło za sobą te skutki, że choć większy od wszystkich dotychczasowych, nie góruje nad niemi jakościowo.

Pierwszem co się rzuca w oczy jest podawanie niezliczonej ilości odmian herbowych, w czem prześcignięto Chrzońskiego, wziętego za ewangelję. Odmiany te w znakomitej większości wcale nie istnieją, bo są poprostu błędem rysunku. Badacz solidny nie zamieściłby w spisie żadnej odmiany, bez upewnienia się o jej realnym bycie, — to jest czy istnieje jakaś rodzina rzeczywiście takiego herbu używająca, bo o ile niema — cała odmiana jest fikcją. Ale redakcja nie zadawała sobie nawet najmniejszego trudu autorskiego, poprzestając na wygodnem spisywaniu.

Drugim, a jeszcze wyraźniejszym dowodem lenistwa redakcji, rzucającym bardzo ciekawe światło na jej „kulturę historyczną” i ten „instytut” — jest olbrzymia ilość herbów „znanych tylko z nazwy“. Jest ich chyba z dziesięć razy tyle, niż być powinno, a słowo to zbyt lekkomyślnie jest używane, bo w historji nieznanem jest tylko to, co rzeczywiście nie da się stwierdzić, ale nigdy to, o czem nie wie z własnej winy sam badacz. Nieznana więc jest osoba Galla czy historja Popiela, ale znana większość wymienionych w encyklopedji herbów.

Przedewszystkiem należałoby zastosować metodę sprawdzeń; — jest np. podany jako taki herb „znany tylko z nazwy“—Łaźniński, na jakiej podstawie nie wiem, bo rodziny Łaźnińskich własnego herbu nie ma, ale mają oni herb Jelita. Przypuszczam, że gdzieś wymieniono Łaźnińskich bez podania herbu, czy że gdzieś był herb Łaźnińskich nie podając jaki i stąd to wyszczególnienie, jakich bez liku. Kompromitacją jednak prawdziwą redakcji są innego rodzaju herby „znane tylko z nazwy”, a to te, które rzeczywiście istniejąc, są właściwie świetnie znane, tylko redakcji nie chciało się ich szukać. Śmiesznie poprostu w naukowem wydawnictwie przedstawia się taka notatka: „Froelich, indygenat z r. 1773, potwierdzenie w Król. Polskiem z r. 1855. Herb znany tylko z nazwy“. — Jakto? przecież są odpowiednie dokumenty, zaś archiwa b. Heroldji dla wszystkich otwarte. Takie wygodnisiostwo to kpiny z czytelnika.

Ale to grawaminów jeszcze nie wyczerpuje, są i tu bowiem rozmnożenia niegorsze jak z Kantakuzenami; rozdwojony został Tomasz Dangel i w dodatku zaznaczono, że był z włoskiej rodziny. Widać według encyklopedji szlacheckiej — Szczecin z którego przywędrował, leży we Włoszech, dobrze wiedzieć, to bardzo interesująca geografja.

Ciekawe są też daty panowań monarchów, prawdziwie rewelacyjne, — okazuje się bowiem, że Ferdynand II panował w 1703 r., Franciszek II—w 1734 — cała historja Austrji wygląda więc inaczej.

Dziwnem zjawiskiem jest także, że bardzo często indygenat wyprzedza nobilitację. Słowem moc tu danych, od których się kręci w głowie, a które nie są omyłkami druku, bo niema ich we wcale starannie zestawionych erratach, ale poprostu tem, że nie mający pojęcia o historji redaktor nie był w stanie poprawić omyłek kopisty, też widać nieuka.

Ostatecznie jednak można stwierdzić, że całe to niezbyt fortunne wydawnictwo, mimo wszystkich swoich błędów ma pewną, co prawda maleńką wartość, i że może ułatwić różne badania, stanowiąc chociaż bardzo niedoskonały zbiór rozproszonych wiadomości. Zachodzi jednak mocno uzasadniona obawa, że zapowiadane monografje pójdą po linji schlebiania próżności prenumeratorów, — a co do spisu potomków rodzin szlacheckich—to należy zgóry zaznaczyć, że pomysł ten nie ma żadnego sensu, jest absolutnie do niczego niepotrzebny, a obniży do reszty wartość i celowość wydawnictwa, z którego i tak arcykruchą naukowością zupełnie nie da się pogodzić.

K. S. F.

ZMARTWYCHWSTANIE ŁACINY

JĘZYKI umarłe zmartwychwstają. Starożytna hebrajszczyzna stała się językiem urzędowym żydostwa palestyńskiego.

Coraz częściej odzywają się głosy, domagające się wskrzeszenia łaciny, jako języka międzynarodowego. Żarliwym rzecznikiem tej idei w Polsce jest profesor Tadeusz Zieliński. Posiada ona mnóstwo zwolenników w całej Europie. Należy do nich również fejletonista paryskiej „*Illustration*” podpisujący się pseudonimem *Le Semainier*. Przed paru miesiącami zamieścił on artykulik informujący o pomysłowych metodach pedagogicznych, stosowanych przez niektórych nauczycieli francuskich w celu zainteresowania uczniów językami martwemi. Nauczyciele owi układają naprzykład krzyżówki i zachęcają uczniów do bawienia się rozwiązywaniem rozmaitych łamigłówek, do których klucz znajduje się w... słowniku łacińsko-francuskim. Tak zwane „preparacje” czyli mozolne

wypisywanie ze słownika „słówek" i kucie ich na pamięć, uważane przez młodzież powszechnie za nieznośną pańszczyznę, przeistoczyło się w niektórych szkołach francuskich w ulubioną przez uczniów rozrywkę. Artykulik „*Le Semainier'a*" wywołał żywy oddźwięk wśród czytelników. Jakiś żartobliwy przeciwnik łaciny, uważający iż martwy ów język nie da się pogodzić z wymogami życia nowoczesnego, zapytał listownie redakcję „*Illustration*", jak przetłumaczyć na łacinę zdanie następujące:

„Pojechałem wczoraj samochodem na lotnisko, gdzie oglądałem lot nowego hydroplanu, wyposażonego w ulepszony odbiornik radjotelegraficzny. Przy wodowaniu aparat skapotował (przewrócił się), pilot zaś został zraniony i przewieziony na posterunek chirurgiczny w celu prześwietlenia promieniami Roentgena".

Przetłumaczenie tego zdania (rojącego się od sprytnych pułapek) na łacinę, zaproponował *Le Semainier* swoim czytelnikom. Otrzymał odrazu mnóstwo odpowiedzi. Większość ich pochodzi od młodzieży szkolnej. Jedną nadesłali uczniowie pierwszej klasy licealnej.

Odpowiedzi są bardzo rozmaite. Pewne zwroty jednak powtarzają się niemal we wszystkich.

Wyraz „automobil" przez zwolenników łaciny klasycznej chętnie bywa tłumaczony zwrotem: „*rheda quae se ipsam movetur*".

Zwrot „pojechałem na lotnisko" jeden z łacinników tłumaczy: „*profectus sum ad castra machinarum quae volant per aethera*".

Inny znów: „*peti castra ubi machinae, quibus ad volandum in aere utuntur, tuto servantur*".

Zwrot: „oglądałem lot nowego hydroplanu, wyposażonego w ulepszony odbiornik radjotelegraficzny" w jednym z przekładów brzmi: „*Vidi volantem supra nubem novam machinam quae volat per aetherem ab aequore cum organis perfectis quae tradunt cogitationem per vim electricam sine filo*".

Inny tłumacz wyraża się tak: „*vidi novi generis machinam ex iis quae super aequora labentes paulatim ascendunt summumque aer petunt perfectis instructam organis quibus verba, per vim electricam diffusa longe lateque mittuntur*".

Opis „kapotażu" i przewiezienia pilota do szpitala nie sprawia również tłumaczom trudności.

Według jednego tłumacza rannego pilota przewieziono na posterunek chirurgiczny i badano: „*ad imagines lucis opera corporis exprimendas*".

Według innego przewieziono go: „*ut lucis radiorum dictorum X opera vulnera operta revelaxentur*".

Większość tłumaczów zadowala się słownictwem klasycznem, wzbogacając je tylko przymiotnikiem: *electrica* (vis). Ale najgładsze są przekłady tych tłumaczy, którzy nie wahają się używać grecko-łacińskich nowotworów.

Za najgładszą należy uznać wersję następującą:

„*Heri curru automobili, in aviationis castrum ivi ubi volantem vidi novum hydravionem radiotelegraphico apparatu perfectissimo instructum. Cum mare rasit, resupina est machina et vulneratus gubernator ad casam chirurgicam ductus est*".

Takie są rezultaty ankiety „*Le Semainier*'a". Zdając z niej sprawę pisze on:

„Żeby nadążyć za produkcją naukową trzeba znać dzisiaj pięć lub sześć języków. Jutro — być może — trzeba będzie znać ich trzydzieści. Czyż nie lepiej posługiwać się w pracach naukowych jednym językiem, który zdał egzamin, że się nadaje na język międzynarodowy?"

Oczywiście lepiej.

Egzamin taki zdała niewątpliwie tylko łacina.

Nie zdał go ani obrzydliwy volapück, ani wstrętne żydowskie esperanto.

Z RUCHU WYDAWNICZEGO

W „Słowie Pomorskiem" (nr. 44) czytamy: „Agencja „Press" donosi, że w ostatnich dniach została wycofana z księgarń głośna książka gen. Sławoj-Składkowskiego p. t.: „Strzępy meldunków". Powodem jej wycofania było podobno wystąpienie grupy Koła Legjonistów I brygady, która zażądała od autora książki wyjaśnień. Legjoniści ci uważali książkę za nie na czasie. Tak samo mieli oni pretensję do gen. Krzemińskiego, który przeglądał i otrzymał książkę przed i po jej wydaniu i aprobował ją do druku".

Agencja „Iskra" donosi, że „Strzępy meldunków" gen. Sławoj-Składkowskiego, bynajmniej nie zostały wycofane z rynku księgarskiego. Brak tej książki na rynku tłumaczy się wyczerpaniem nakładu, a drugie wydanie zostało opóźnione z powodu strajku drukarskiego.

*

Coraz to bardziej rozwija się i technicznie doskonali wydawany przez firmę R. Wagnera w Poznaniu cykl „Cuda Polski". Po „Morzu i Pomorzu", po „Wielkopolsce" — dość jeszcze suchych tomach pierwszych—poszły takie arcydzieła literackie, jak Janowskiego „Warszawa", Morcinka „Śląsk" i Wasylewskiego „Lwów". Trzy tomy, jakie dostaliśmy następnie, wprawdzie pod względem literackim są słabsze, ale zato bogactwem ilustracyj czynią wrażenie imponujące.

Najwspanialej przedstawia się „Wilno" w opracowaniu J. Remera. Wileński mistrz fotografik, Bułhak, osiągnął tu wprost szczyty artyzmu, a i sam tekst jest piękny i pożyteczny zarazem, autor bowiem, konserwator zabytków wileńskich, zna się fachowo na rzeczy, o której pisze, przeto podaje wiadomości rzeczowe, ścisłe, w formie jasnego i prostego wykładu.

Gorzej się sprawa przedstawia z tekstami „Polesia" oraz „Tatr i Podhala". Autor pierwszej z tych książek, F. A. Ossendowski, niepotrzebnie uderza czasami w popularnockliwy ton „Malowniczej Polski" Chociszewskiego, to znów rozpływa się w lirycznych pompatycznych ogólnikach albo też bawi się w słabo ugruntowane ekskursy w dziedziny prawieków, już lepiej, gdy się wyręcza cytatami z późno-romantycznych poetów.

Pretensjonalność stylowa razi miejscami i w książce Rafała Malczewskego o Tatrach. Trafiają się też tu i owdzie pewna niedokładności rzeczowe. Wszystko to należałoby wyrównać w wydaniach następnych, do których niewątpliwie rychło dojdzie, bo jednakże wydawnictwo samo w sobie jest ogromnie pożyteczne i powabne. W każdym razie ponieważ cykl „Cudów Polski" jest przedwszystkiem imprezą kształcącą, przeto redakcja tego wydawnictwa powinna pamiętać zasadę dydaktyczną, że nauczyć można czytelnika metodą dwojaką: spokojną objektywnością albo powabem wykładu. Albo jednem i drugiem. To właśnie osiągnęli Wasylewski, Janowski, Morcinek. (J. B.)

SZTUKA W GDYNI

(KAZIMIERZ JODŻEWICZ, ANNA LITYŃSKA, KAZIMIERZ PRĘCZKOWSKI)

BIEŻĄCA wystawa „Wieczorów Czwartkowych" w Gdyni mieści się w nowym, obszerniejszym niż dotychczasowy, lokalu. Pozwoliło to na wzbogacenie ilościowe prac wystawianych. IV wystawa uderza widza różnorodnością technik, reprezentowanych w twórczości Jodzewicza, Lityńskiej i Pręczkowskiego.

Kazimierz Jodzewicz wystąpił z dorobkiem kilkudziesięciu prac w technice wycinanek, węgla i ołówka. Wycinanki Jodzewicza to niewątpliwie interesująca lekcja, jak można, obrawszy papier kolorowy i będąc posłusznym nakazom tegoż, stworzyć rzeczy o nowym wyrazie, jakże różne od wycinanki ludowej, mającej założenie zdobnicze, a wyjątkowo w łowickiej częściowo malarskie. Odrzucając naklejania jednego papieru na drugi (o innym kolorze), co prowadziło niejednokrotnie w ludowej wycinance do płaskorzeźby, artysta stara się dopasować poszczególny wycinek barwny z innemi, dzięki czemu osiąga płaskość swej wycinanki. Dla zachowania tej płaskości, artysta zmuszony jest czasem do wzmożenia swych środków wymowy plastycznej przez użycie farby, którą np. w „Pierniku Toruńskim" używa dla wydobycia światłocienia, bądź w „Nocy", gdzie na ciemnem tle nieba rzuca plamy białego gwaszu, imitujące gwiazdy i drogę mleczną.

Wycinanki Jodzewicza to sztuka *par excellence* malarska, rozwiązująca dekoracyjnie czy to zagadnienia martwej natury, czy pejzażu lub też kompozycji figuralnej. W „Niedzieli" Jodzewicz obserwuje z dużem poczuciem humoru zabawę pod-

miejską, dobrze oddaną w grotesce rzuconych dziesiątków figur na tle soczystej zieleni traw i gorącej w kolorze karuzeli. „Martwe natury“ uderzają przemyślaną kompozycją rysunkową i bogatemi efektami gam kolorystycznych. Cykl „*Coin des enfants*“ — przedstawia wżycie się artysty w zabawę i marzenia dziecięce. „Miasto” i „Przedmieścia” — to cykl kompozycyj, nadających się dekoracyjnem, szerokiem założeniem do dekoracji teatralnej. W zasadzie wycinanka Jodzewicza nosi cechy stylizowanego realizmu i monumentalnego zakroju, dzięki traktowaniu szerokiemi płaszczyznami materjału.

Cykl węglowy „Sandomierz” to stare mury, które autor z dużym sentymentem i poczuciem syntetycznego rysunku ujmuje. Doskonałą zwłaszcza jest praca „Dom Biesa” (interesująca faktura węglowa), „Zamek”, czyniący raczej wrażenie akwaforty i „Ratusz”, modulacja nad wyraz przyjemna od strony linearnej.

Prawdziwą i najmocniejszą dla sprawozdawcy niespodziankę uczynił Jodzewicz, obok wycinanek, swym cyklem ołówkowym „Sny”, w których przetransponował nad wyraz sugestywnie wizje senne na daleki od realizmu frazes plastyczny. W tych pracach uważam Jodzewicza, poetę-wijonera, za najbardziej gatunkowo twórczego.

Anna Lityńska, artystka zamieszkała w Gdyni, wystawiła dwie interesujące prace, z materjału tkaninowego, naszywanego jeden na drugi. „Gałgankowość” kolorystyczna „Kwiatów” czy „Bretonek” jest silnie poddana złudzeniu techniki farby olejnej, kładzionej szeroko szpachtlą. Pierwsza, nosząca wybitne piętno szkoły paryskiej, to rzecz wymodulowana nad wyraz sprawnie. Kompozycja przeprowadzona jest w kolorycie gorących, soczystych barw kwiatów, szarości dzbana, i szeroko rozprowadzonych elementów koloru w partjach tła. Bretonki, surowe, o syntetycznem założeniu, wystawione zostały przez artystkę niejako dla przykładu, jakiemi drogami idzie jej wysiłek w operowaniu tą żmudną techniką.

Kazimierz Pręczkowski wystąpił z czterdziestoma przeszło planszami projektów dekoracji teatralnej do „Antygony” Sofoklesa, „Kumoszek z Windsoru” opery komicznej Nikolaiego (na podstawie Szekspira), „Samuela Zborowskiego” Słowackiego, „Pana Jowialskiego” Fredry, „Tragedji dzieci” Schönchera, „Bitwy nad Marną” Obeya i „*Ecce Homo*“ Ewy Szelburg Zarembiny. Dorobek to wysokiej klasy, zdumiewający bogactwem założeń dekoracyjnych. Cechuje Pręczkowskiego wnikliwa intuicja i znajomość sceny. Pamięta o ekonomji w wiązaniu poszczególnych aktów, które mimo koniecznych w dniu dzisiejszym przystosowań do środków pieniężnych, nie są zubożone w sensie artystycznym o ułamek wyrazu. Niema tu szablonu. Każda scena to własny wyraz, o klasycyzmującej statyce.

„Pan Jowialski”, jako rysunek i barwa, to przedniego gatunku jowialszczyzna. A kostjum, mimo wyczucia epoki, jest jednocześnie o modernistycznym zakroju, trafiający nam do przekonania. „Kumoszki z Windsoru”, zrealizowane na scenie Teatru Wielkiego w Warszawie, to dalszy przykład głębokiej intuicji w wyczuciu epoki. Scena „las” to prawdziwie poetyckie nadanie bogactwa kształtu i odcieni kolorystycznych drzewom, które jakże odmienne są od surowych, pełnych grozy drzew w „Tragedji Dzieci” Schönchera. „*Ecce Homo*” Ewy Szelburg Zarembiny to przedziwne misterjum dekoracji, podnoszące do potęgi treść sztuki. Najświetniejsza inscenizacja Pręczkowskiego to „Samuel Zborowski” Słowackiego. Potężne, wizje tego dramatu-poematu realizuje Pręczkowski monumentalnie i suggestywnie. A przecież zdajemy sobie sprawę, że szczególniej sceny: czwarta — „w królestwie podwodnem oceanid” i piąta „w krainie nadziemskiej” przedstawiają olbrzymi trud dla dekoratora...

WOJCIECH PUCHAŁA

FILM

STYLOWY: „Miłosne niespodzianki”, film amerykański.

Niema najmniejszego sensu wyświetlanie podobnych filmów u nas. Jest to sfotografowany teatr i w dodatku bez akcji; przez dwie trzecie filmu widzimy parę aktorów, rozmawiających w tem samem miejscu.

Wolimy słuchać i oglądać naszych b. dobrych aktorów, żywych, *in natura*, w naszym teatrze.

*

ŚWIATOWID: „Koenigsmark”, według powieści Benoit’a.

Jest w tym filmie wszystko, aby mógł się podobać, trochę dla tych samych powodów, dla jakich podobała się „Trędowata”. A więc mamy tu tajemnicę starego zamczyska w małem księstewku Lautenburg, młodą, piękną i osamotnioną księżnę, jej szwagra, księcia, czarny charakter, który knuje szatańskie plany i szlachetnego młodziana, wychowawcę młodego książątka. Młodzian naturalnie zyskał względy księżnej i zdemaskował niecne postępki księcia. Gdy dwa serca poczynają płonąć, milkną oczywiście wszystkie racje stanu, co tak zwanym pracownicom igły napewno trafi do przekonania. Widz nieco kapryśniejszy z łatwością wykryje w scenarjuszu wiele nieprawdopodobieństw.

Pod względem filmowym rzecz zrobiona b. starannie, zawiera kilka dobrze ujętych momentów (np. wjazd kawalkady jeźdźców).

Film w wersji francuskiej.

KANDYD

ZMARLI

Ś. P. WAWRZYNIEC SIELSKI

POLSKA Agencja Telegraficzna doniosła, że w dn. 17 lutego r. b. zmarł nagle ś. p. Wawrzyniec Sielski, właściciel Wyszyna w pow. Konińskim. Śmierć nastąpiła w czasie nadejścia władz policyjnych, mających dokonać w domu rewizji.

Pierwsza wiadomość opiera się na pogłosce o samobójstwie, nastąpić ma bliższe zbadanie przyczyn.

Ś. p. Wawrzyniec Sielski urodził się 30.4 1874 r. Gimnazjum ukończył w Kaliszu, poczem osiadł na roli w swojej posiadłości w Wyszynie, pow. koniński. Był stałym członkiem rady gminnej, sejmiku powiatowego, wydziału powiatowego, od 1902 sędzią gminy, a następnie sędzią pokoju do r. 1921. Zajmował się pracą na polu organizacyjnem rolnictwa, był prezesem Kółka Rolniczego, przewodniczącym dozoru szkolnego, członkiem powiatowego zarządu Czerwonego Krzyża oraz prezesem zarządu Hurtowni Polskiej w Koninie. Przez cały czas bierze czynny udział w życiu politycznem. W wyborach do Sejmu w r. 1922 kandyduje na pierwszem miejscu listy narodowej w okręgu konińskim i zostaje wybrany posłem.

Na wieść o śmierci Zarządy Stronnictwa Narodowego, zarówno Główny, jak miejscowy złożyły rodzinie kondolencje.

Do numeru niniejszego dołączamy czeki na P.K.O. nr. 3105 i prosimy usilnie, aby Sz. Czytelnicy bez zwłoki zechcieli zrobić z nich użytek, nadsyłając prenumeratę na kwartał II.

Prosimy przy sposobności o rozpowszechnianie „Myśli Narodowej” między znajomymi.

POKŁOSIE

PROFESOROWI E. Romerowi, przedstawiającemu w „Przeglądzie Współczesnym” wewnętrzną i zewnętrzną sytuację gospodarczą Polski, wyrywa się okrzyk „istnego zdumienia” na widok liczb mówiących, że przeciętny mieszkaniec Polski płaci rocznie podatków państwowych 55 złotych, samorządowych 19 zł. i ponad 16 złotych ubezpieczeniowych. Istotnie, jeżeli pomyśleć, że z tych 55 zł. utrzymuje się ogromna część całej machiny państwowej, a więc administracja, wojsko, oświata, sądownictwo i t. d., to 16 zł. wydatku na drobną stosunkowo pozycję ubezpieczeń wydaje się rzeczywiście zdumiewająco wiele.

Poseł Wierzbicki podczas dyskusji sejmowej nad budżetem ministerstwa opieki społecznej, odbywającej się ubiegłego tygodnia, wyliczył, że obciążenie na wszelkiego rodzaju ubezpieczenia razem z emeryturami i rentami inwalidzkiemi przenosi u nas miljard złotych rocznie, co stanowi bardzo znaczną, bo bodaj ósmą część całego dochodu społecznego.

A mimo tak wielkich sum na ubezpieczanie przeznaczanych, ogromna większość tych ubezpieczeń funkcjonuje w sposób, wywołujący niezadowolenie powszechne. Czemu to? Niedawno miała miejsce na łamach jednego z dzienników polemika na temat ubezpieczenia na wypadek choroby czyli t. zw. Kas Chorych. Otóż według danych, urzędowo przez warszawską ubezpieczalnię społeczną stwierdzonych, liczba lekarzy, obsługujących chorych wynosi 500, a liczba urzędników, zarabiających przy tej sposobności na swoje utrzymanie—900 (w liczbach okrągłych), czyli na jednego lekarza wypada prawie dwu, dokładniej 1,8 urzędników. Człowiek nieubezpieczony, nie korzystający z Kasy Chorych, udając się do lekarza, nie ponosi żadnych kosztów ubocznych; jest rzeczą zrozumiałą, że przy organizacji pomocy lekarskiej za pośrednictwem kasy jakieś koszty administacyjne muszą być, ale żeby przypadało aż dwu urzędników na jednego lekarza, który przecież jest, a przynajmniej powinien być figurą centralną całej organizacji — to chyba zawiele.

A kto wie, jak sprawy stoją w innych, mniejszych ubezpieczalniach, czy tam ten stosunek nie jest jeszcze gorszy. Można tedy powiedzieć, że sprawy stoją tak, jak gdyby każdy lekarz miał przy sobie dwu faktorów, żyjących z tego interesu naogół wcale dobrze, a niekiedy znakomicie. Jasne jest, że w tych warunkach ani lekarz, ani pacjent nie robi dobrego interesu i stąd pochodzą słuszne narzekania.

Cytowany wyżej poseł Wierzbicki uważa wzmocnienie indywidualnej samopomocy za środek wskazany przeciwko nadmiernemu obciążeniu społeczeństwa przez budżety ubezpieczeniowe. Zupełnie słusznie, ale trzeba pamiętać, że to właśnie wielki przemysł, którego reprezentantem jest poseł Wierzbicki, sprowadził tę konieczność organizacji ubezpieczeń. Wywłaszczył drobnego rzemieślnika, który mógł myśleć o samodzielnem zabezpieczeniu się na wypadek choroby i na stare lata, a gdy dosięgła go jakaś nieprzewidziana klęska, to miał sąsiedzką, pozbawioną biurokracji, pomoc swego cechu.

Zamiast tego przemysł stworzył armję proletarjuszy, dla których obowiązkowe ubezpieczenie w wielkich organizacjach jest koniecznością, tembardziej, że wielki przemysł rozluźnił rodzinę, zmuszając matki do opuszczania domu w poszukiwaniu zarobku. Możemy więc i powinniśmy myśleć tylko o udoskonaleniu tego ubezpieczenia, o wyzwoleniu go od biurokratycznych pasorzytów, tak drogich sercu socjalistów.

W swoim czasie była mowa w „Myśli Narodowej” o istniejącem w Dolnej Austrji ubezpieczeniu bydła i przeprowadzono porównanie tego ubezpieczenia, zaopatrzonego we wszelkie atrybuty nowoczesnej organizacji, a więc w inspektorów, statystykę, tablice wymieralności, sporządzone na podstawie skomplikowanego rachunku prawdopodobieństwa i t. d. — z ubezpieczeniem sąsiedzkiem, istniejącem od wieków we Francji, przy którem cała formalna maszynerja polega na zebraniu się gospodarzy przy szklance wina i obliczeniu, ile na każdego wypadnie składki, żeby sąsiad Dupont, któremu padła krowa, mógł sobie inną kupić. Takie ubezpieczenie jest oczywiście mniej postępowe, nie posiada żadnych tablic, statystyk i inspektorów, ale ma zato tę zaletę, że kosztuje akurat tyle, ile wynosi strata, podczas gdy te znakomicie naukowo zorganizowane nowoczesne instytucje wymagają wkładek znacznie większych, niż wartość padłego bydła. Muszą przecież oprócz wypłacenia odszkodowania, utrzymać cały aparat.

Ale każdy rozumie, że takie proste, sąsiedzkie, a jednocześnie najracjonalniejsze ubezpieczenie wymaga niebylejakiej kultury społecznej, chrześcijańskiego stosunku do spraw bliźniego. U nas te rzeczy nie były w modzie przy budowaniu odrodzonej Polski, traktowano je jako przestarzałe a szkodliwe przesądy, tamujące drogę wierze w jedynie zbawczą przymusową organizację z socjalizującą biurokracją na czele. Dopiero dziś zaczynamy nieco inaczej na te rzeczy patrzeć.

ARGUS

NA MARGINESIE

Że się ktoś z kimś w barze brata, nie znaczy, że to barski konfederata. Od stolika w barze taki dwugłos dolata:

— Tak się jakoś—psiakrew—składa, że nigdy nie mogę trafić na właściwy front.

— Jaki ffront?

— Ano, trzydzieści lat temu—wie radca—podczas rewolucji strzelałem do swoich, na wojnę wypadło iść z Niemcami, teraz znowu jest się po stronie żydowskiej. Zawsze mi powiadają, że naród jest po innej stronie.

— Ta nie rób pan z tego dramatu. Pan zawsze już przy trzeciej butelce płacze. I to panie front polski i to ffront polski.

— Ale czy dobrze, że tu jesteśmy?

— Jesteśmy tam, gdzie dobrze. Abyśmy tylko zdrowi byli—trąćmy się. Mówię to panie nietylko ewentualnie panu, ale—wogóle...

— Może to i racja. Ja sobie nieraz myślałem, czy przypadkiem naród się nie myli, że zawsze przeciwko nam staje...

*

Redaktor „Słowa” p. Mackiewicz ogłosił artykuł p. t. „Panowie ministrowie mówcie treściwiej”. Naśladując mowy ich, wygłaszane w Sejmie, podaje takie wzory:

„Pytamy się dlaczego lasy państwowe dają mniejszy dochód niż lasy prywatne, i odpowiadamy samym sobie, że należy rozważyć wspólną płaszczyznę kulturalnej rozbudowy na odcinku zarówno gospodarczej jak i kulturalnej współpracy duchowej i materjalnej. Pytamy się jak będziemy wojować, jeśli nie mamy samochodów, i uspakajamy samych siebie, że trzeba uwzględnić przenikanie państwowotwórczego jestestwa w najdalsze i najdemokratyczniejsze zręby Najjaśniejszej Rzeczypospolitej, które dopiero w należytem zrównoważeniu mogą być skontaktowane i uwzględnione”.

„Głos Narodu”, przytaczając to, dodaje:

— Mówią, jak myślą. Więc:—jak myślą!”

*

Oryginalny sposób kompromitowania przeciwnika wynaleźli sanatorzy, zarzucając Stronnictwu Narodowemu, że zamało jest narodowe... Przeciwnik nie może odpłacić tą samą metodą, niewiadoma bowiem nikomu jest ideja, którąby „sanacji“ przyświecała. Sprawiedliwość zaś nie pozwala twierdzić, że źle służy żydom i masonerji.

TREŚĆ:

Adres Redakcji: Mokotowska 11 m. 5. Tel. 9. 25-46. Adres Administracji: Al. Jerozolimskie Nr. 17. Tel. 9-87-90.

PRZEDPŁATA kwart. zł. 9, półrocznie zł. 17, rocznie zł. 32, zagranicą kwart. zł. 12, półroczn. zł. 24, rocznie zł. 45. Konto czekowe na P. K. O. 3.105.

Redaktor naczelny i wydawca: ZYGMUNT WASILEWSKI. Redaktor odpowiedzialny: JAN REMBIELIŃSKI.

Druk. SPOŁECZNA. Pl. Grzybowski 3/5. Tel. 205-80. PRZESYŁKA POCZTOWA OPŁACONA RYCZAŁTEM.